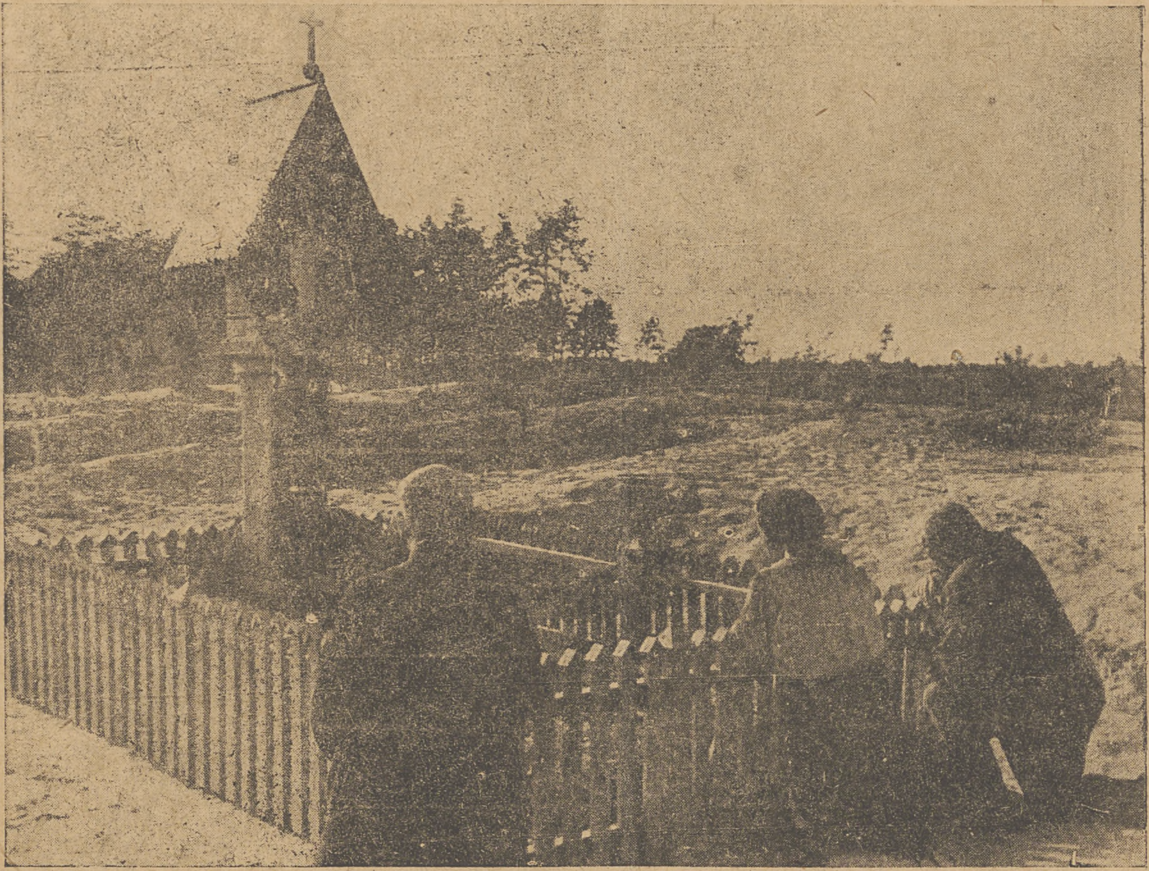
R. II LISTOPAD 1946 R. Nr 7 (11)

CHŁOPSKI ŚWIAT

MIESIĘCZNIK



PALMIRY — MOGIŁA MARSZAŁKA RATAJA

CHŁOPSKI ŚWIAT

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM ŚWIATOPOGLĄDU I SPOŁECZNEJ IDEOLOGII CHŁOPSKIEJ

R II — N 7 (11)

LISTOPAD 1946



Inż. Ignacy. Solarz twórca pierwszego Uniwersytetu Ludowego w Polsce i Jędrzej Cierniak, twórca Teatrów Ludowych w Polsce — zamordowani przez Niemców.

Polska wśród narodów świata

WOJNA O POKÓJ

Rozdział historii politycznej traktujący o dzisiejszych czasach mógłby nosić tytuł: „Świat walczy o pokój".

Z chwilą gdy wspólny cel zjednoczonych narodów, całkowite rozgromienie „trójkąta" Berlin, Tokio, Rzym, został osiągnięty, mocarstwa schodząc ze wspólnej drogi wojennej, weszły na szlaki polityczne wiodące do osiągnięcia celów każdego z nich. Doprowadzenie do uzgodnienia tych dążeń oznaczać będzie utrwalenie pokoju. Bezpieczeństwo i możliwość gospodarczego rozwoju, warunkującego dobrobyt, oto dwa cele, których żadne państwo nie może się wyrzec. Osiągnięcie tych celów przez wielkie mocarstwa, a nawet i średnie państwa, wymaga niejednokrotnie zabiegów sięgających daleko poza granice tych państw. Doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że system najpotężniejszych umocnień wybudowanych na własnej granicy nie wystarcza dla obrony kraju, jeśli kraj ten zostanie oplątany siecią napastniczych sojuszów. Podobnie największy wysiłek wewnętrzny narodu, pozbawionego możności uczestnictwa w obrocie światowym, dostępu do surowców i wielkich szlaków komunikacyjnych, nie daje wyników odpowiadających ogromowi ofiar i wyrzeczeń. Stąd wniosek, że bezpieczeństwo i dobrobyt poszczególnych narodów wymagają stworzenia światowego systemu, respektującego słuszne dążenia państw. Walka o ten system, wykluczający czyjąkolwiek krzywdę, jest walką o światowy pokój. Natomiast wszelkie usiłowania stworzenia kombinacji politycznych dających jednym przewagę kosztem innych jest zagrożeniem pokoju. W szczególności groźne są tendencje do monopolistycznego władania wielkimi szlakami komunikacyjnymi, do monopolu surowcowego, wreszcie do monopolu w zakresie handlu i gospodarczej penetracji w krajach wielkich, ale zacofanych, np. w Chinach, Indiach itp. Monopole takie można utrzymać tylko przy pomocy zdecydowanej przewagi wojskowej jednej grupy państw nad inną. Stąd dążenie do tworzenia bloków, których celem jest wojskowe i gospodarcze okrążenie strony przeciwnej. Wszelkie tego rodzaju zabiegi w okresie walki o pokój należy traktować jako przygotowywanie wojny. Walka z takimi dążeniami jest walką o pokój. Jeden z ciekawych epizodów tej walki rozgrywał się przez długie trzy miesiące w Paryżu.

PARYŻ — NEW YORK

Paryski etap walki o pokój skończył się. Natychmiast po zakończeniu Konferencji Paryskiej rozpoczął się drugi etap. Mocarstwom zależy najwidoczniej na pośpiechu. Żółwie tempo narad paryskich w ostatnich dwóch tygodniach przemieniło się w prawdziwy galop. Komisje obradowały dniem i nocą. Jednak nad tymi ostatnimi tygodniami paryskiej pracy dyplomatów wyraźnie zaciążyły przygotowania do nowego etapu walki o pokój. Tym etapem są rozpoczęte 23.X.1946 r. obrady Zgromadzenia Ogólnego O.N.Z. i nowa sesja Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, tzw. „Wielkiej Czwórki". Zgromadzenie O.N.Z. i sesja Konferencji Ministrów odbywają się jednocześnie.

Jak należy rozumieć przewlekłe tempo początkowych narad i końcowy galop Konferencji Paryskiej?

Sprawa ta jest w gruncie rzeczy b. prosta. Chodziło o typowe metody dyplomacji. Rachuby na zmęczenie przeciwników, na skuteczność wprowadzenia w grę różnych ubocznych środków nacisku w rodzaju eksperymentów z bombą atomową, rokowań pożyczkowych itp. wymagały przewlekania pracy. Gdy rachuby te zawiodły, a różnice poglądów zresztą poważnie zredukowane stały się jasne, należało przenieść akcję na inny teren. Tak też postąpiono w Paryżu. Właściwie konferencja zakończyła się już przed jej formalnym zamknięciem. Ostatnie dwa tygodnie to już tylko formalność, setki głosowań, których wynik był z góry wiadomy.

Mocarstwa doszedłszy do wyjaśnienia pewnych różnic w sprawach traktatów z byłymi sprzymierzeńcami Niemiec, postanowiły rozszerzyć zakres rokowań. Jeszcze trwała Konferencja Paryska, a już amerykański minister Byrnes w słynnej mowie w Stuttgarcie postawił sprawę zjednoczenia i odbudowy Niemiec. Jednocześnie zapada decyzja, aby Konferencja Ministrów „Wielkiej Czwórki" jak najszybciej wzięła na warsztat pracy sprawę niemiecką. Jest to właściwie tylko ujawnienie istotnie centralnego zagadnienia w walce o pokój. Dyplomatom, którzy się tyle napracowali w Paryżu, pozostało już tylko spisać wszystkie sprawy, na które się zgodzono i te, co do których trzeba jeszcze szukać uzgodnienia. Zastępcy ministrów „Wielkiej Czwórki" wykonali tę końcową robotę w ciągu parodniowej podróży po Atlantyku z Francji do New Yorku.

Jak podała prasa, uzgodnione zagadnienia napisano na papierze białym, sprawy sporne na niebieskim. Te ostatnie rozpatrywać będzie „Wielka Czwórka" już niewątpliwie w łączności z istotnie centralnym problemem Europy ze sprawą niemiecką. I to jest właściwe znaczenie wędrówki dyplomatów z Paryża do New Yorku. W przyszłości zapewne ujawni się nowy centralny punkt w pracy nad pokojem — sprawa Pacyfiku. Doczekamy się tego prędzej czy później. Zawiłe i trudne jest zagadnienie pokoju, jednak wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje na to, że zagadnienie to zbliża się do pomyślnego rozwiązania.

CO ZAŁATWIONO W PARYŻU

„Wielka Czwórka" (Anglia, Francja, ZSRR i USA) *opracowała projekty traktatów pokojowych* z byłymi sojusznikami Niemiec: Bułgarią, Rumu-

nią, Finlandią i Włochami. W Paryżu dwadzieścia jeden państw rozpatrywało te traktaty po to, aby wyrazić na nie zgodę lub zaproponować poprawki. Jednak ostateczne decyzje powziąć musi jednomyślnie „Wielka Czwórka“. Warto zdać sobie sprawę z istoty zagadnień rozpatrywanych w Paryżu. Z grubsza rzecz biorąc chodziło o trzy grupy spraw:

1. Północne wyjście na Atlantyk i sprawy Bałtyku,

2. Linia Karpat i niektóre sprawy Europy Środkowej,

3. Bałkany i Morze Śródziemne.

Pierwsza grupa zagadnień: wyjście ZSRR na północny Atlantyk i pełne zabezpieczenie wyjścia z Zatoki Fińskiej, nie nastręczała trudności. Nikt nie kwestionuje prawa ZSRR do niezamarzającego portu na morzu Barentsa, na dalekim północnym morzu, które dzięki ciepłemu prądowi opływającemu wybrzeże Skandynawii stanowi dogodne wyjście na wielki północny szlak atlantycki. Wartość tego wyjścia będzie pełniejsza, gdy znikną bazy amerykańskie na Grenlandii i Islandii, i gdy należycie będą zabezpieczone radzieckie stacje węglowe na Szpicbergenie. Jeden rzut oka na mapę wystarczy, aby zrozumieć słuszność tych postulatów ZSRR.

Traktat z Finlandią przywraca ponadto bezpieczeństwo Leningradowi, bohaterskiemu miastu, które wytrzymało prawie dwuletnie oblężenie, i wyklucza powtórzenie się tego rodzaju tragedii. Zabezpieczając bazy na północnym krańcu zatoki fińskiej, traktat ten uniemożliwia zablokowanie floty radzieckiej w Kronsztadzie. Jeśli do tego dodać, że pomimo jawnego sprzeciwu Stanów Zjednoczonych zawarty został w ostatnich miesiącach traktat handlowy między ZSRR i Szwecją, stanowiący bardzo poważne rozszerzenie współpracy tych dwóch państw, stwierdzić można, że stosunki w tej części Europy dążą do pokojowego unormowania. W Paryżu traktat z Finlandią nie budził zastrzeżeń. Będzie to zapewne pierwszy z pięciu traktatów, na które wszyscy się zgodzą.

Nieco więcej trudności nastręcza druga grupa zagadnień. Linie Karpat i jej przedpole. Jest to część wielkiego problemu Europy środkowej i południowej, nierozerwalnie związana ze sprawą Bałkanów i Morza Śródziemnego. Wyjście ZSRR za Karpaty dokonane zostało przez zjednoczenie Rusi Zakarpackiej z radziecką Ukrainą. Republika Czechosłowacka już przed wojną deklarowała gotowość oddania tej prowincji Ukrainie. Powrót Transylwanii do Rumunii, co zresztą odpowiada stosunkom ludnościowym, przedłuża granicę radziecko-rumuńską, biegnącą granicą Besarabii, północnej Bukowiny i Rusi Zakarpackiej. ZSRR uzyskuje silne oparcie na Karpatach, utrwalone przyjaznymi stosunkami z Polską, Czechosłowacją, Rumunią i Węgrami. Również i to rozwiązanie nie napotkało w Paryżu na trudności; prace nad traktatem z Rumunią są niemal zakończone.

Kłopoty zaczynają się dopiero, gdy chodzi o sprawy związane z właściwymi Bałkanami i wyjściem na morze Śródziemne. Gdyby Węgry odzyskały Burgenland, który pewne koła pragną oddać Austrii, wówczas dla Polski, Czechosłowacji i Węgier otwartłaby się droga łącząca Śląsk poprzez Bramę Morawską z portami na Ardiatyku, całkowicie niezależnie od Niemiec względnie Austrii. Na końcu tej drogi leży Triest. Triest, jako port jugosłowiański, oznaczałby zakończenie tej drogi szeroko otwartymi wrotami dla Polski i wszystkich tych państw, jako port włoski oznaczałby barierę zagradzającą nam i naszym sąsiadom drogę do Morza Śródziemnego. Czym będzie Triest jako wolne miasto, pokaże najbliższa przyszłość. Oby nie stał się Gdańskiem. O Triest toczyła się w Paryżu walka. Jest to walka o jedną z dróg dla narodów słowiańskich do morza, nie ma wątpliwości, że sympatie Polski muszą być po stronie rozwiązań otwierających tę drogę i uniezależniających ją zarówno od Austrii jak i od Włoch.

Konferencja paryska zaproponowała uczynienie z Triestu wolnego miasta, z dość rozległym terytorium pod władzą gubernatora. Zarówno granice jak i statut polityczny tego tworu budzą najwyższe zastrzeżenia. Jugosławia oświadczyła, że traktatu załatwającego w ten sposób sprawę Trestu nie podpisze. Niewątpliwie jest to jedna ze spraw, którą zanotowano na niebieskich kartkach.

Druga droga do morza dla krajów środkowej i wschodniej Europy prowadzi ku Morzu Egejskiemu. Sprawa tej drogi to sprawa traktatów dotyczących bezpośrednio Bułgarii, Włoch i Grecji. Bułgarię oddziela od Morza Egejskiego Tracja, oddana Grecji na życzenie Anglosasów. Morze Egejskie zamykają należące przed wojną do Włoch, a obecnie oddane Grecji, wyspy Dodekanezu oraz grecka Kreta. Jeśli Grecja stanie na usługach międzynarodowego kapitału i będzie całkowicie podporządkowana Anglosasom, ta droga narodów środkowej i wschodniej Europy na morza będzie z tej strony szczelnie zamknięta. Uczynienie z Grecji bastionu przeciw Europie środkowej i wschodniej nie leży więc w interesie Polski.

Przed wojną po Morzu Śródziemnym pływały trzy floty handlowe i wojenne: angielska, francuska i włoska. Obecnie została tylko jedna flota tj. flota angielska, jeśli pominąć odbywającą się właśnie obecnie „wizytę“ floty amerykańskiej. Anglia zamyka wszystkie wyjścia z Morza Śródziemnego, dzierżąc na zachodzie Gibraltar, na wschodzie Suez i Aden, panuje nad wewnętrzymi przejściami, dysponując takimi bazami, jak Malta i Cypr. Nie można zapominać, że z Morza Śródziemnego poprzez cieśniny tureckie prowadzi droga na Morze Czarne, a stamtąd w strefę bezpieczeństwa i najżywotniejszych interesów ZSRR, na przemysłowe i rolnicze południe Związku. Przejścia te są obecnie w posiadaniu Turcji. Związek Radziecki kilka tygodni temu wysunął żądanie wzmocnienia gwarancji swego bezpieczeństwa, wymawiając układ o cieśninach. Z górą sto lat temu 1833 r. Rosja uzyskała zgodę Turcji na zamknięcie na jej żądanie Dardaneli i kontrolę nad ruchem statków w tym rejonie. W 1841 r. mocarstwa zachodnie uchyliły te prawa Rosji. W ten sposób uchylając udział Rosji w kontroli cieśnin utorowano drogę flocie an-

gielskiej, która w czasie wojny krymskiej wysadziła wojska na Krymie, umożliwiając koalicji Anglii, Francji, Włoch, Austrii i Turcji zdobycie Sewastopola. Wprawdzie oddano Sewastopol, ale rosyjska flota wojenna została usunięta z Morza Czarnego, a południowe granice Rosji na przeciąg 20 lat pozostały bez osłony. Dopiero wojna w r. 1877-8 pozwoliła Rosji w wyniku zwycięstwa nad Turcją stworzyć sobie system bezpieczeństwa i poprzeć wyzwoleńcze dążenia narodów południowo-słowiańskich. W dużej mierze przy pomocy Austrii, której oddano w niewolę wiele ludów południowosłowiańskich, zdołały wówczas mocarstwa osłabić wpływy Rosji w tej części Europy. Niemałą rolę odegrała również niechęć do carskiej Rosji, „więzienia narodów". Dziś sytuacja się zmieniła; monarchii Habsburgów, która również była więzieniem narodów, nie ma i nie będzie, a Związek Radziecki ma zgoła inną pozycję wśród narodów niż carska Rosja.

Kilka faktów z historii minionej epoki przypomnieliśmy po to, aby wyjaśnić, o co chodzi w żmudnych układach dotyczących Bułgarii i Włoch, nowego statutu cieśnin, oraz jakie ma znaczenie nacisk Anglosasów na Grecję i ich wojskowa penetracja w Turcji. Historia tej części Europy wskazuje, że Związkowi Radzieckiemu nie chodzi o podboje, lecz o własne bezpieczeństwo. Gorzkie doświadczenia ubiegłego stulecia zmuszają do wyciągnięcia dziś wniosków. Ponieważ nie ma i nie będzie już Habsburskiej Austrii, ponieważ siły Turcji są zbyt małe, aby starczyły na coś więcej niż demonstrację, należy spodziewać się, że mimo zgłoszenia setek poprawek do traktatu dotyczącego Morza Śródziemnego, mimo poparcia udzielonego Turcji i czułej opieki Anglosasów nad świeżo powołanym na tron greckim królem, uda się zapewnić w tej części Europy bezpieczeństwo narodów słowiańskich. tak ważne dla sprawy pokoju. Trzeba tylko mieć cierpliwość i silne nerwy.

Ze sprawą Bałkanów jak najsilniej wiąże się żegluga na Dunaju. Kraje Bałkańskie i ZSRR, których granice sięgają dolnego Dunaju i jego ujścia, uważają, że jest to ich wyłącznie sprawa, Anglosasi są innego zdania, twierdzą, że mają tam swoje interesy i żądają udziału w rozwiązaniu tej sprawy. W rezultacie sprawę odroczono. Oto jeszcze jedna sprawa, którą trzeba było zapisać na niebieskich kartkach.

Do tej samej kategorii spraw, choć nie objętych tematem obrad konferencji paryskiej, należy sprawa cieśnin czarnomorskich.

Ilość spraw załatwionych jest niewątpliwie poważna. Do New Yorku przywieziono znacznie więcej białych kartek niż niebieskich. Trzeba jednak przyznać, że na niebieskich kartkach znajdują się sprawy pierwszorzędnej wagi.

SPRAWA NIEMIEC WYSUWA SIĘ NA PIERWSZY PLAN

W sprawie przyszłości „biednych" Niemiec ostatnio mówi się coraz głośniej. Zapewne niektórzy politycy sądzą, że nacisk odbudowanych Niemiec na wschód i południe Europy mógłby być wykorzystany dla rozwiązania istniejących tam dla ich państw trudności. Już przy odroczeniu do 23. X. Zgromadzenia Ogólnego O.N.Z. wysunięto żądanie przyśpieszenia rozwiązania kwestii niemieckiej. Serię wystąpień mających na celu przygotowanie gruntu dla tej sprawy otworzył min. Byrnes w Stuttgarcie.

Co o tej mowie myśli każdy Polak, co w szczególności myśli i jak ją ocenia PSL, wypowiedział się minister Wycech. Stanowisko to znalazło potwierdzenie w oświadczeniu Prezesa Mikołajczyka, złożonym w Kopenhadze.

Min. Wycech pisze między innymi:

*

„Są w naszym życiu liczne sprawy sporne, jednak w sprawie stosunku do Niemiec nie ma w Polsce różnych stanowisk, i jest rzeczą niezmiernie ważną, aby o tym wiedziano w kraju i na całym świecie.

W mowie p. Byrnes'a występują cztery kwestie, które nas interesują niezmiernie blisko:

1) najbliższa i dalsza przyszłość Niemiec,
2) granice polsko-niemieckie,
3) granice francusko-niemieckie,
4) odszkodowania.

Nie mniej od wszystkich tych kwestii razem wziętych ważny jest ogólny ton mowy, jako przejaw stosunku St. Zjednoczonych do Niemiec.

Niewątpliwie ten ogólny ton jest w stosunku do posłusznych wykonawców zbrodniczego programu hitlerowskiego nadspodziewanie łagodny.

Serdeczna troska o biedne Niemcy, które w interesie pokoju należy jak najprędzej zjednoczyć i odbudować, jest dla nas Polaków czymś b. trudnym do zrozumienia. Historia nas nauczyła, że odbudowywać Niemcy to nie znaczy przygotowywać pokój. Przeciwnie. to znaczy przygotowywać wojnę. To jest niezaprzeczalna prawda historyczna.

W obliczu niezmiernych w swoim zasięgu i ohydzie zbrodni dokonanych bynajmniej nie przez jednostki, ale przez setki tysięcy i miliony esmanów, żandarmów, gestapowców i wszelkiego rodzaju nazistów, których szeregi tak szybko pomnażał cały naród otaczający tych bandytów miłością i szacunkiem, darzący ich ślepym zaufaniem i posłuszeństwem; w obliczu świeżych jeszcze śladów zbrodni dokonanych, jeśli nie przez cały niemiecki naród, to przez cały jego aktyw, uznano za stosowne zwrócić się do tego zbrodniczego narodu ze słowami, które dodają mu otuchy i krzepią wiarę w szybkie odrodzenie. Już sam fakt, bez względu na takie czy inne koncepcje polityczne wysunięte przez Byrnes'a, wystarczy, aby cały Naród Polski odczuł, słuchając tej mowy, głębokie zdziwienie, rozczarowanie i ból.

Byrnes powołuje się na Jałtę i Poczdam, ale umniejsza znaczenie decyzji poczdamskich twierdząc, że dotyczyły one tylko obszaru okupacji, zaś wszelkie zmiany terytorialne wymagają decyzji konferencji pokojowej. Formalnie tak sprawa wy-

gląda, ale tylko formalnie. W istocie rzeczy mocarstwa, wyrażając zgodę na przyjęcie wysiedlonych Niemców z ziem na wschód od linii Odry-Nisy, przez to samo akceptowały tą linię jako granicę naszą z Niemcami. Dokonane zostały fakty nieodwracalne, które wykluczają zmianę raz powziętej decyzji.

Nie chodzi przy tym jedynie o rekompensatę; chodzi o naprawienie krzywdy. Polska wraca na prastare słowiańskie ziemie, które przez wieki gromadziły prochy naszych przodków, i jakkolwiek głęboko wrosły w te ziemie korzenie germańskie, nasze historyczne prawa do nich pozostają faktem. I jeszcze jedna sprawa jest niezmiernie ważna, sprawa naszego bezpieczeństwa. Odepchnąć Polskę z najkrótszej linii niemiecko-polskiego pogranicza na jakąkolwiek inną granicę mniej lub więcej powyginaną i z górą tysiąc kilometrową, znaczy to położyć nam na gardle germański nóż.

Mówi się, że to specjalnie granica Odra-Nisa jest taka dla Niemców przykra. Łudzi się ten, kto sądzi, że Niemcy w swojej walce z nami dążą do tej czy innej granicy. Przekonała nas historia choćby ostatnich lat, że zupełnie tak samo, jak o Szczecin iWrocław, Niemcy mają do nas pretensje o Toruń, Poznań i Gdańsk, o Płock i Łódź, ba, o Warszawę i Kraków, po prostu o to, że istniejemy pod słońcem. Dla tych którzy częściowo realizowali zagładę fizyczną naszego narodu, nie ma takiej granicy, która by ich zadowoliła.

Zjawiskiem niezmiernie dodatnim dla nas jest fakt, że dziś już Wschód dobrze rozumie, że wszelkie koncepcje na rzecz Niemiec, odstępowanie za cenę takiego czy innego kompromisu od linii Odry — Nisy byłoby wyważeniem wrót dla nowej ekspansji niemieckiej, której cele są tak dalekie, jak daleko sięga na wschód Europa. Toteż nie ma takiego kompromisu, za którego cenę narody słowiańskie mogłyby się zgodzić na odstąpienie od ich wspólnej granicy bezpieczeństwa, od linii Odry — Nisy, nad którą trzyma straż żołnierz polski, wsparty przez naród silny wolą obrony swojego państwa i mocą sojuszów, opartych na wspólnych interesach.

Mowa Ministra Byrnes'a przypomniała nam, że niemieckie niebezpieczeństwo jest wciąż żywe; przypomniała, że ile razy między wielkimi zwycięzcami ostatniej wojny nie ma jednolitego stanowiska i wspólnego działania, tyle razy pojawia się niemieckie niebezpieczeństwo. Naród Polski zawsze będzie poznawał swoich przyjaciół wśród innych narodów po ich stosunku do Niemiec. W najżywotniejszym interesie Narodu Polskiego leży harmonijne współdziałanie zwycięskich mocarstw.

Niestety, mowa min. Byrnes'a, w Stuttgarcie nie była wypowiedziana w duchu tej harmonii, i dlatego. podobnie jak mowa Churchila w Fulton, nie może być w Polsce dobrze przyjęta. Całe szczęście, że mowy przemijają, natomiast trwa w narodach pamięć niedawno przeżytych tragedii i niezłomna wola niedopuszczenia do nowych nieszczęść".

×

Przypomnienie artykułu min. Wycecha jest bardzo na czasie w przededniu rozpoczęcia obrad „Wielkiej Czwórki" w sprawie przyszłości Niemiec.

Mowia Byrnes'a niemal w całej Europie nie doznała dobrego przyjęcia. W szczególności Francja, Belgia i Holandia poczuły się zagrożone perspektywą rychłej odbudowy Niemiec i odmową spełnienia terytorialnych i gospodarczych żądań. Rachuby na pozyskanie tych państw dla idei tzw. bloku zachodniego z natury rzeczy straciły na realności; to jest niewątpliwie fakt pozytywny. Zabrali głos również Czesi. Rozumieją oni, że granica Odry—Nisy jest jedyną granicą gwarantującą im bezpieczeństwo. Klin niemiecki między Polską i Sudetami oznacza okrążenie Czech i jest wstępem do zamachu na ich niepodległość. Niedwuznacznie również oceniła mowę prasa radziecka. Wydaje się, że ZSRR rozumie, iż odepchnięcie Polski od Odry i Nisy oraz zagrożenie Czechosłowacji nie może być okupione żadnym kompromisem, bowiem jest to jedna linia graniczna możliwa do obrony przed agresją z zachodu. Wszelkie inne linie, mimo najściślejszego współdziałania z okrojoną Polską, przedstawiają małe szanse do utrzymania, i dawałyby możność głębokiego wdarcia wroga niosącego nieobliczalne szkody.

Do stanowiska Byrnes'a, choć nieco w złagodzonej formie, przyłączył się angielski min. spr. zagr. Bevin, oświadczając, że w Poczdamie „tylko z ociąganiem się i tylko pod naciskiem ZSRR" Anglia zgodziła się na objęcie przez nas Ziem Zachodnich i wysiedlenie niemców. Trzeba stwierdzić, że takie określenie stosunku do sprawy stanowiącej dla nas „być albo nie być", nie mogło spotkać się z dobrym przyjęciem w Polsce. Czyżby min. Bevin nie rozumiał, że pozbawiona ziem zachodnich Polska przy obecnej wschodniej granicy, którą zarówno Anglia jak i my uważamy za ostateczną, stałaby się czymś w rodzaju Królestwa Kongresowego, albo Księstwa Warszawskiego, stałaby się państwem pozbawionym gospodarczej samowystarczalności, wystawionym na najwyższe niebezpieczeństwo z zachodu, a więc państwem, które nie miałoby wiele szans utrzymania swojej niezawisłości, swojej suwerenności?

Zapewne los takiego państwa równie mało obchodziłby Anglię, jak mało obchodził ją los Polski przez całe stulecie naszych walk o niepodległość. Sprawa granicy zachodniej Polski jest najważniejszą sprawą dla nas i dla przyszłych pokoleń; właśnie ze względu na stosunek do tej sprawy oceniać dziś musimy intencje wobec nas czynników zagranicznych.

Próby podważania naszych granic zachodnich spotkały się z kategoryczną odprawą ze strony najpierw min. Mołotowa, a następnie Generalissimusa Stalina. ZSRR przez usta swojego najmiarodajniejszego przywódcy jasno i kategorycznie odrzuciła wszelką myśl o odepchnięciu Polski od linii Odry—Nisy.

To kategoryczne stanowisko ujawnione już w wywiadzie min. Mołotowa, a następnie tak mocno poparte przez autorytet marsz. Stalina, przyniosło wyraźne odprężenie sytuacji. Min. Byrnes w swoim późniejszym wystąpieniu już nie poruszył sprawy

nowej granicy, a komentator radiowy angielski śród problemów, które należy załatwiać dla uregulowania przyszłości Niemiec, wymienił sprawę granicy francusko-niemieckiej, zarządu przemysłem, jedności gospodarczej i politycznej, natomiast sprawy granicy Odry—Nisy już nie poruszył. Jednocześnie ucichli w Niemczech propagatorzy rewizji granicy z Polską, których nie brak było również i na lewicy. Nasz wschodni sojusznik dał odprawę nie tylko pewnym politykom angielskim, ale również i tym przywódcom zjednoczonej partii komunistycznej i socjalistycznej, którzy zbyt się zagalopowali w swojej rewizjonistycznej propagandzie.

Na razie więc wysunięcie sprawy odbudowy Niemiec wzmocniło na terenie międzynarodowym solidarność narodów słowiańskich, które linię Odry-Nisy jeszcze raz uznały za granicę swego wspólnego bezpieczeństwa. W szczególności sojusz polsko-radziecki doskonale wytrzymał ogniową próbę.

W POSZUKIWANIU WSPÓLNEGO JĘZYKA

Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem ostatnich dni jest wywiad udzielony przez marsz. Stalina dla prasy amerykańskiej. Wbrew ostatnim wypowiedziom niektórych polityków anglosaskich Marsz. Stalin stwierdza, że między ZSRR i St. Zjedn. Am. Półn. nie ma istotnych sporów. Istniejące trudności Marsz. Stalin przypisał podżegaczom wojennym, do których zaliczył Churchil'a, kapitalistów zaangażowanych w produkcji wojennej i pewne koła wojskowe.

Również w Ameryce odezwał się głos przypisujący obecne trudności błędom polityki Byrnes'a i wpływom nieodpowiedzialnych kół wojskowych. Były min. handlu Wallace wygłosił w tym duchu przemówienie i ogłosił list otwarty do prezydenta Trumana, piętnujący politykę straszenia bombą atomową, politykę zbrojeń i imperialistycznych zakusów. Wprawdzie prez. Truman udzielił Wallaco'wi dymisji za krytykę Byrnes'a i osłabienie jego pozycji na Konferencji Paryskiej i w łonie „Wielkiej Czwórki", ale sam prezydent na otwarciu ONZ wygłosił wybitnie pojednawcze przemówienie. Również w toku obrak ONZ zaznaczyło się odprężenie.

Państwa związane z Anglią i St. Zjednoczonymi zaatakowały zasadę jednomyślności wielkich mocarstw, bez której zgodnie z dotychczasowymi przepisami ONZ nic nie można postanowić. Min. Molotow uznał wysunięcie tej sprawy za dążenie do narzucenia ZSRR woli mocarstw anglosaskich i obalenie podstawowej zasady, na której opiera się pokój świata, zasady zgodnej współpracy wielkich mocarstw. W rezultacie St. Zjedn. nie poparły wniosku o obalenie zasady jednomyślności mocarstw.

W ten sposób St. Zjedn. zadeklarowały gotowość budowania w dalszym ciągu pokoju na zasadach współpracy, a nie drogą narzucania swej woli. Jak długo takie stanowisko będzie utrzymane, pokojowi nic nie może zagrażać.

Fakt, że widoki dalszej współpracy mocarstw uległy wyraźnej poprawie w przededniu omawiania przyszłości Niemiec oraz zdecydowane poparcie udzielone przez ZSRR w sprawie naszych granic zachodnich, oto dwa najdonioślejsze wydarzenia ostatnich tygodni na terenie międzynarodowym, oba w najwyższym stopniu pomyślne dla Polski.

Ziarna

Jest rzeczą niepokojącą, że po stratach, jakie dotknęły inteligencję polską w czasie wojny i okupacji, w poważnej publicystyce nie szuka się zorganizowania wielkiej, systematycznej i przemyślanej akcji wydobywania talentów z szerokich mas społeczeństwa. Przeciwnie, w zgodzie z tradycyjną naszą obojętnością, dla tego problemu, na czoło inteligenckiej publicystyki wysuwa się stary, naprawdę zużyty motyw: ostrożnie, aby nie za dużo chłopskiej młodzieży na uniwersytetach! „Nie wolno... kosztem wartości inteligencji powiększać jej ilości" — ostrzega „TYGODNIK POWSZECHNY". „Dziwne wydają się — kontynuuje „TYGODNIK POWSZECHNY" — niektóre wypowiedzi prasowe biadające nad nieproporcjonalnym stosunkiem poszczególnych warstw społecznych na wyższych uczelniach". — Dziwne?! ślepota inteligenckiego getta budzi doprawdy niepokój.

Brak zainteresowania dla talentów, tkwiących w masach ludowych i marnujących się dla narodu, zgadza się z psychologią getta, z psychologią ludzi środowiska zdegradowanych i chorych na punkcie swej wielkości. Inteligenckie getto żywi przekonanie, że poza sferą należącą do inteligenckiego getta nie ma rzeczy zasługujących na uwagę, co najwyżej w charakterze zabawnej murzyńskiej egzotyki — jak np. „chłopskie wesele"! (Mam na myśli, rzecz jasna, zainteresowania inteligenckiego getta, a nie społeczników czy inteligenckich prometeistow).

Brak zainteresowania dla niewyzyskanych talentów, tkwiących w masach ludowych, ma bardziej ogólne podłoże w psychologii getta. Getto nie lubi wybitnych indywidualności, getto jest w swojej istocie nieżyczliwe dla wybijających się młodych talentów i wielkości. Getto jest solidarne nie w życzliwym popieraniu talentów i uzdolnień; ono jest solidarne w przeciwdziałaniu wybijania się nowych talentów literackich czy naukowych. Jest to solidarność ludzi jałowych i małych, którzy sami czują się wielcy, i nie znoszą prawdziwych wielkości obok siebie. Tylko towarzyska taktyka umiaru i skromności obowiązująca w sferach dobrego wychowania nie pozwala ludziom z getta inteligenckiego na jaskrawe afiszowanie swojej wielkości. Nie wypada okazywać swojej wielkości. Ale poza tą taktyką kryje się brutalność uczuć wobec każdego, z kim się nie potrzeba liczyć.

Józef Chałasiński

(„Społeczna genealogia inteligencji polskiej")

FELIKS POPŁAWSKI

Czym jest a czym nie jest uniwersytet ludowy

I. Wstęp

Minęło już sto lat od powołania do życia pierwszego uniwersytetu ludowego. Pierwsza bowiem placówka tego rodzaju powstała w listopadzie 1844 roku w Danii, w miejscowości Rödding, leżącej na terenie północnego Szlezwigu. Od tego czasu uniwersytety ludowe rozpowszechniły się nie tylko w Danii, ale również i w krajach skandynawskich, jak Szwecja, Norwegia, Finlandia — oraz w Niemczech, no i w Polsce.

Pierwsze próby realizacji grundtvigowskiej myśli wychowawczej były czynione w Polsce już ponad czterdzieści lat temu. Były one podejmowane przez koła warszawskiej postępowej inteligencji, skupiającej się około Aleksandra Świętochowskiego, a skrystalizowały się — w ówczesnych warunkach życia zaboru rosyjskiego—pod postacią szkół i kursów rolniczych. Piękny dorobek wychowawczy tych instytucyj, przerwany przez pierwszą wojnę światową, nie odrodził się już po przełomie wojennym w Polsce niepodległej, pomimo wysiłków w tym kierunku uczynionych przez kilka wybitnych jednostek z Jadwigą Dziubińską na czele. Został on przytłoczony fachowością rolniczą, rozwijaną na terenie jedenastomiesięcznych tzw. ludowych szkół rolniczych, przez nowe zastępy nauczycieli tych szkół, którzy posiadali wprawdzie wiedzę fachową, ale nie potrafili kontynuować tradycji i pracy wychowawczej instytucyj wzorowych z okresu przedwojennego.

Tradycja ta została podjęta na nowo w pierwszych latach niepodległości przez nowopowstałe instytucje wychowawcze, które nawiązały wprost do duńskich grundtvigowskich wzorów, a które zaczęto określać mianem uniwersytetów ludowych. Jedną z najwcześniejszych i najwybitniejszych instytucyj tego rodzaju był założony w 1924 roku przez Związek Nauczycielstwa Polskiego Wiejski Uniwersytet Ludowy w Szycach pod Krakowem, przeniesiony po siedmiu latach na skutek nacisku politycznego sanacji, do Gaci Przeworskiej, gdzie przetrwał pod nazwą Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego do września 1939 roku. Przez całe piętnastolecie Uniwersytet ten pozostawał pod kierownictwem swego wybitnego dyrektora Ignacego Solarza.

Jak z przytoczonych powyżej danych wynika, instytucja uniwersytetu ludowego ma już poza sobą spory szmat czasu oraz fakt szerokiego upowszechnienia się i rozprzestrzenienia na terenie północnej i środkowej Europy. Atrakcyjność wychowawcza uniwersytetów ludowych sprawiła, iż w toku ich rozwoju historycznego wzbudziły one zainteresowanie wielu ludzi, wśród których zdarzały się nierzadko nieprzeciętne umysły i charaktery. Takie to właśnie wybitne jednostki, stanąwszy u warsztatu pracy uniwersytetu ludowego, bogaciły jego dotychczasowy dorobek wkładem swojej twórczej pracy, i przyczyniały się do doskonalenia metod i wyników jego działalności wychowawczej. Tego rodzaju twórczy wkład, narastający w ciągu szeregu dziesiątków lat, doprowadził do wykrystalizowania się odrębnej instytucji społeczno-wychowawczej, o swoistej strukturze wewnętrznej, posiadającej własne metody działalności wychowawczej oraz cały szereg cech i właściwości, które w sumie składają się na istotę uniwersytetu ludowego.

Uogólniając można by stwierdzić, iż w dziedzinie uniwersytetów ludowych dysponujemy dorobkiem posiadającym wszystkie znamiona pełnej i odrębnej koncepcji wychowawczej. Koncepcja ta posiada jak gdyby dwa oblicza: jedno — teoretyczne, powstałe na drodze obiektywizującej refleksji pedagogicznej, i drugie — praktyczne, krystalizujące się w każdorazowym zastosowaniu praktycznym na terenie konkretnej placówki uniwersyteckiej.

Jeżeli chodzi o teoretyczną stronę instytucji uniwersytetu ludowego, to rzuca się w oczy, iż nie mamy dotychczas w Polsce żadnych opracowań, które stanowiłyby próbę sformułowania polskiej koncepcji tej instytucji. Jeżeli w dziedzinie działalności praktycznej mamy szereg interesujących poczynań, to w dziedzinie opracowań teoretycznych minione międzywojenne dwudziestolecie nie pozostawiło właściwie nic godnego uwagi. Utalentowani wychowawcy-praktycy rzadko imali się pióra, a jeżeli nawet czynili to, wypowiedzi ich mają charakter fragmentaryczny i co najwyżej przyczynkowy; pedagogowie-naukowcy zaś nie podjęli w ogóle tego tematu, pozostawiając go całkowicie ruchliwszym od siebie, ale też bardziej powierzchownym, a niejednokrotnie wręcz tendencyjnym publicystom.

To, co w dziedzinie pojmowania istoty uniwersytetu ludowego, upowszechniło się w Polsce w ciągu międzywojennego dwudziestolecia— przede wszystkim w strefach oświatowców i społeczników — ukształtowało się pod wpływem stopniowego zaznajamiania się z duńskim dorobkiem w tym zakresie, który przenikał przez Wolną Wszechnicę Polską i wielu innymi drogami oświatowymi, oraz pod wpływem pracy Solarza, którego Unwersytet był licznie odwiedzany i który poza tym wygłosił setki wykładów na różnorodnych konferencjach i kursach, organizowanych przez Związek Młodzieży Wiejskiej oraz Związek Nauczycielstwa Polskiego. W wykładach tych z dużym talentem formułował on podstawowe pojęcia związane z istotą uniwer-

sytetu ludowego oraz stawiał przed oczy słuchaczy jego zadania i funkcje społeczno-kulturalne. Przyczyniło się to w dużym stopniu do upowszechnienia wiadomości o uniwersytecie ludowym, ale nie mogło zaspokoić w pełni potrzeby prawdziwej pogłębionej wiedzy w tym zakresie.

W tych warunkach wytworzył się w środowiskach zbliżonych do Ruchu Ludowego swoisty stan pojęć na temat istoty oraz celów, zadań i metod uniwersytetu ludowego, który to stan pojęć w ogólnym zarysie dość dobrze odpowiada rzeczywistości, i całkowicie wystarcza do utrzymania tego zagadnienia w stanie społecznej aktualności, to jest niejako na porządku dziennym polskiego życia społecznego, ale który w istocie rzeczy jest dość powierzchowny i — jak to zwykle w podobnych wypadkach bywa — niepozbawiony wewnętrznych sprzeczności. Ten stan rzeczy ogromnie utrudnia wszelkiego rodzaju głębszą i rzetelną dyskusję na temat problematyki uniwersytetu ludowego, która wymaga pewnego minimum ściśle określonych i ustalonych pojęć; ułatwia on natomiast wypowiedzi nieodpowiedzialne, których sporo obserwowaliśmy ostatnio w naszej prasie.

Jeżeli chodzi o to, co nazwaliśmy powyżej praktycznym obliczem koncepcji uniwersytetu ludowego, to stwierdzić należy, iż zależy ona w głównej mierze od indywidualnych właściwości zespołu pracowników pedagogicznych uniwersytetu. Można by powiedzieć, że w dziedzinie konkretnej pracy wychowawczej mamy tyle odrębnych koncepcyj uniwersytetu ludowego, ile jest czynnych w danym okresie placówek uniwersyteckich, przy czym można by zaryzykować twierdzenie, że im bardziej dana placówka jest wybitna i atrakcyjna w swych osiągnięciach wychowawczych, tym bardziej indywidualny posiada charakter, i tym mniej jest podobna do ustalonej odgórnie, a więc z konieczności schematycznej ogólnej koncepcji tej instytucji.

II. CZEMU SŁUŻY SZKOŁA?

1. Uniwersytet ludowy a szkoła

Dla zewnętrznego obserwatora uniwersytet ludowy jest niczym więcej, jak tylko pewnym rodzajem szkoły, wszystkie bowiem zewnętrzne akcesoria upodobniają go do internatowej instytucji szkolnej. Wiemy o tym, że teoretycy jak również i pracownicy uniwersytetów ludowych energicznie przeciwstawiają się takiemu klasyfikowaniu uniwersytetu ludowego twierdząc, iż jest on czynnikiem zasadniczo różnym od jakiejkolwiek instytucji szkolnej. Oczywiście, po głębszym wniknięciu w istotę zagadnienia musimy przyznać, iż słuszność jest po stronie ludzi reprezentujących pogląd o całkowitej odrębności uniwersytetu ludowego, co jednak nie znaczy wcale, jakoby nie istniały nici łączące te dwa typy instytucji.

Pomimo całej swej — tak postulowanej jak rzeczywistej — odrębności w stosunku do szkoły, uniwersytet ludowy związany jest z nią wielu przede wszystkim histrycznymi węzłami, i to poczynając od samej jego genezy. Wszak grundtvigowska koncepcja wyższej szkoły ludowej — opartej nie na książkowej pamięciowej wiedzy, lecz na żywym słowie i bezpośrednim oddziaływaniu wychowawcy na zespół uczestników tej szkoły — narodziła się z opozycyjnego ustosunkowania się Grundtviga do ówczesnego duńskiego szkolnictwa. Niezadowalający stan tego szkolnictwa był, jak wiadomo, ostro i wręcz namiętnie przez niego krytykowany, a schematyczność szkolnego programu oraz oderwanie od życia jego pamięciowych metod — pobudzały Grundtviga do poszukiwań innych dróg wychowawczych i dydaktycznych, obliczonych na oddziaływanie na wszystkie czynniki życia duchowego człowieka i pobudzenie do aktywności możliwie wszystkich jego wewnętrznych sił twórczych.

Szczególnie rażącą dysproporcję musiały stanowić te programy i metody oraz całość ówczesnego życia szkolnego w zestawieniu z potrzebami i właściwościami psychicznymi młodzieży szkolnej po osiemnastym roku życia. Jest to okres tzw. pierwszej młodzieńczej dorosłości, w którym młody człowiek usiłuje samorzutnie znaleźć sobie miejsce na świecie, i to nie tylko w zakresie wyboru zawodu, ale również i w sensie światopoglądowym. Toteż na ten okres życia ludzkiego Grundtvig zwrócił specjalną uwagę, domagając się odrębnego jego traktowania przez wychowawców — zgodnie z jego odrębnymi właściwościami i potrzebami psychicznymi. Dlatego to Grundtviga nazywa się często odkrywcą wieku młodzieńczego oraz twórcą i głosicielem postulatu autonomii wychowawczej tego wieku, porównując go z francuskim myślicielem Janem Jakubem Rousseau, który odegrał w pedagogice podobną rolę w stosunku do okresu dziecięcego.

Biorąc pod uwagę ten fakt genetycznego pokrewieństwa szkoły i uniwersytetu ludowego, spróbujemy w naszych dalszych rozważaniach zestawić obie te instytucje, wychodząc z założenia, iż będzie to z pożytkiem dla określenia i uplastycznienia istoty uniwersytetu ludowego.

2. Główna funkcja szkoły

Funkcja szkoły polega na nauczaniu. Nauczanie zaś jest to podawanie wiedzy ze strony nauczyciela oraz przyjmowanie jej ze strony ucznia. Przyjmowanie to uwarunkowane jest dwiema przede wszystkim funkcjami intelektualnymi, a mianowicie: rozumieniem i pamiętaniem. Cały ten proces nazywa się w nauce o nauczaniu, czyli dydaktyce, realizowaniem tzw. materialnego celu szkoły, polegającego na gromadzeniu odpowiedniego zapasu wiedzy przepisanego przez właściwy dla danej szkoły program.

Łącznie z tym procesem osiąga szkoła również drugi swój cel dydaktyczny, określony przez dydaktykę mianem celu formalnego, który polega na ćwiczeniu sprawności umysłowych ucznia. Chodzi bowiem szkole nie tylko o zma-

gazynowanie w głowie ucznia odpowiednich zasobów wiadomości, stanowiących dorobek pracy oraz rozwoju kulturalnego człowieka, ale również o takie usprawnienie jego zdolności umysłowych, aby mógł tym dorobkiem możliwie swobodnie i samodzielnie się posługiwać, a w miarę możności również i wzbogacać go w przyszłości własnym wkładem twórczym.

3. Czy szkoła wychowuje?

Oczywistym jest, iż rola szkoły nie wyczerpuje się na podawaniu wiedzy i że w szczególności szkoła jest również czynnikiem wychowawczym, spełniając i w tym zakresie niewątpliwie pozytywną funkcją. Przede wszystkim samo nauczanie posiada dość duże walory wychowawcze, a poza tym wychowuje również środowisko szkolne, koleżeńska atmosfera szkolnej grupy społecznej, no i wpływ osobisty niektórych (bo nie wszystkich) nauczycieli — tych mianowicie, których młodzież darzy sympatią i szacunkiem, i którzy stanowią dla niej czynnik autorytetu oraz wzór do naśladowania.

Szkoła zatem nie jest czynnikiem obojętnym wychowawczo, ale nie jest też czynnikiem decydującym w tym zakresie. Jest ona po prostu jednym z czynników oddziaływujących wychowawczo na człowieka pomiędzy siódmym a dwudziestym którymś rokiem jego życia, i dzieli swój wpływ wychowaczy na jednostkę ludzką przede wszystkim z rodziną, a następnie z takimi czynnikami, jak organizacje młodzieży, kościół, teatr i kino, czytelnictwo pozaszkolne (książka i prasa), sport itp., w odniesieniu zaś do starszej młodzieży — również wojsko i organizacja polityczna.

Nie jest więc szkoła — jako się rzekło powyżej — ani nadrzędnym, ani też dominującym czynnikiem wśród wielu instytucyj konkurujących z nią w oddziaływaniu na ukształtowanie się wewnętrzne człowieka. Często wpływ jej jest dość duży, ale nierzadko się zdarza również, iż spada on prawie do zera na korzyść jednego, kilku lub wszystkich wymienionych powyżej czynnków. Wówczas to rola szkoły ogranicza się w odniesieniu do danej jednostki czy też zespołu jednostek wyłącznie do funkcyj dydaktycznych. Dzieje się zaś tak wbrew rozpowszechnionym szeroko mniemaniom społeczeństwa, które stosunkowo wysoko wartościuje szkołę, jako czynnik wychowawczy, i odpowiednio do tego formułuje swoje oczekiwania i wymagania.

Tego, co zostało powyżej powiedziane, nie należy rozumieć, jakoby szkoła współczesna przechodziła obecnie jakiś kryzys czy upadek. W istocie bowiem szkoła ta zupełnie nieźle spełnia te wszystkie swoje doniosłe zadania kulturalne, jakie stawia przed nią życie. Jeżeli zaś w dziedzinie wychowawczej nie zadowala wszystkich naszych oczekiwań i wymagań, to między innymi i dlatego, że nie wszystkie one są odpowiednio uzasadnione oraz możliwe do spełnienia.

4. Przyczyny ograniczenia możliwości wychowawczych szkoły

Gdybyśmy zechcieli wniknąć głębiej w istotę prac i funkcji współczesnego naszego szkolnictwa, to znaleźlibyśmy uzasadnienie naszkicowanego powyżej stanu rzeczy. Wykrylibyśmy kilka istotnych przyczyn, które ograniczają jego możliwości wychowawcze, a które tkwią głęboko w samej strukturze szkoły.

Jedną z tych przyczyn jest wspomniane powyżej uprzywilejowanie w szkole jej funkcji dydaktycznej. Uprzytomnijmy sobie, czym jest w rzeczywistości szkolnej program nauczania. Jest to przecież najważniejszy regulator i czynnik przewodni olbrzymiej większości prac i zabiegów nauczyciela i ucznia. Program decyduje o treści zajęć szkolnych, i on stanowi jedynie realne i uchwytne kryterium kontroli i oceny pracy nauczyciela.

Pierwszą rzeczą, która interesuje przybyłego do szkoły przedstawiciela władzy szkolnej, jest stopień zaawansowania szkoły w realizacji programu. Drugą — co z opracowanego materiału młodzież szkolna wie, a wie to znaczy: rozumie i pamięta. Nauczyciel zatem — szczególnie na niższych rocznikach nauczania — musi nie tylko opracować w odpowiednim czasie materiał programowy, ale musi również stale pracować nad jego utrwaleniem w pamięci uczniów. A że program ten jest z reguły dość obszerny, więc praca nad jego realizacją wypełnia w praktyce cały tzw. szkolny czas nauczyciela i ucznia, przy czym towarzyszy tej pracy niejednokrotnie swoisty pośpiech dydaktyczny, podyktowany troską, aby się nie opóźnić w „przerobieniu" na czas przepisanego materiału programowego. W tych warunkach niewiele czasu pozostaje nauczycielowi na inne, pozadydaktyczne, a więc i specyficznie wychowawcze zabiegi i poczynania.

Druga przyczyna, ograniczająca możliwości wychowawcze szkoły, tkwi w braku pozytywnego programu wychowawczego. O ile bowiem program dydaktyczny szkoły jest pieczołowicie opracowywany, obserwowany, korygowany, i ulepszany — o tyle programu prac wychowawczych szkoła nie posiada wcale. A skoro nie ma programu, to nie ma również i czasu zarezerwowanego na te prace.

Nauczyciel oczywiście nie rezygnuje z oddziałowywania wychowawczego na ucznia, ale czyni to niejako ubocznie i jak gdyby na marginesie pracy dydaktycznej, która stanowi główny trzon życia szkolnego. Przy czym czyni to z własnej woli i według własnego wyczucia, kierując się istniejącym i uznanym powszechnie stanem pojęć i wyobrażeń społecznych i obyczajowo-moralnych, gdyż jakichś skonkretyzowanych wytycznych w tym zakresie nie posiada.

W praktyce rzecz ma się tak, iż nauczyciel młody — wrażliwszy i bardziej ambitny jako wychowawca — usiłuje podejmować takie czy inne prace o specyficznie wychowawczym charakterze, usiłuje przemyślać określone sytuacje

wychowawcze, szczególnie zaś fakty wyjątkowe, niepowszednie, rzucające się w oczy. Ale z czasem — przytłoczony kłopotami życiowymi i nadmiarem konkretnej pracy dydaktycznej — opuszcza skrzydła i zaczyna płynąć z falą codziennej szkolnej powszedniości. Wówczas to przyjmuje automatycznie postawę pewnego rodzaju defenzywy wychowawczej, która polega na tym, iż reaguje się wychowawczo jedynie w chwilach nieuniknionej konieczności, które zwykle są równoznaczne z jakimiś zaburzeniami normalnego toku życia szkolnego.

Pobili się, coś komuś zginęło, wybili szybę — oto typowe przykłady sytuacji przymusowych, w których nauczyciel podejmuje taką czy inną ingerencję wychowawczą. Wówczas wkracza, strofuje, odwołuje się do przykładów, chwali, gani, poucza, karze, nagradza itp. — czyli w sumie reaguje wartościująco na konkretny fakt czy postępek ucznia i stara się oddziałać na jego przyszłe zachowanie. Jeżeli przy tym ma już sporo doświadczenia i pedagogicznej rutyny, to załatwia całą sprawę doraźnie i odruchowo przy pomocy szeregu wypróbowanych i nieomylnie skutecznych tzw. chwytów pedagogicznych, bez specjalnego zaabsorbowania się danym faktem, po czym przechodzi do właściwej swej roli, to jest do pracy dydaktycznej.

O ile — jak to zaznaczyliśmy powyżej — szkoła nie posiada pozytywnego programu wychowawczego, o tyle można by powiedzieć, iż posiada ona w tym zakresie pewnego rodzaju program negatywny. Przedstawia się on pod postacią szeregu tez czy pewników — niepisanych wprawdzie, ale tym niemniej ustalonych i obowiązujących powszechnie — na mocy których szereg zagadnień życiowych wyłącza się poza ramy rzeczywistości szkolnej.

Jedną z dziedzin, która na tej drodze została wyłączona całkowicie z życia szkolnego, jest dziedzina zagadnień światopoglądowych. Potocznie mówi się, że szkoła nie politykuje, rozumiejąc przy tym owo „niepolitykowanie" bardzo szeroko, jako nie zajmowanie się w ogóle jakimikolwiek zagadnieniami o charakterze ideologicznym. Nie podnoszę tej sprawy w formie zarzutu pod adresem szkoły i nie zamierzam propagować tu modnej dziś idei upolitycznienia szkoły. Zdaję sobie sprawę z poważnych przyczyn, które złożyły się na wytworzenie i utrzymywanie się w szkole dotychczasowego stanu rzeczy, i myślę, iż ewentualne decyzje wprowadzenia jakichkolwiek zmian w tym względzie— gdyby miały nastąpić — musiałyby być powzięte po bardzo gruntownym i wszechstronnym namyśle.

Jeżeli zaś poruszam tutaj to zagadnienie, to jedynie dla zdania sobie sprawy z tego, iż dobrowolne wyłączenie poza nawias życia i pracy szkolnej zagadnień ideologicznych stanowi jedną z przyczyn poważnego samoograniczenia możliwości wychowawczych szkoły. Jeżeli chodzi o młodsze roczniki szkolne, to dla nich brak tych zagadnień nie odgrywa poważniejszej roli; myślę, że w odniesieniu do pierwszych ośmiu czy nawet dziewięciu lat nauczania można by je sobie nawet zupełnie podarować. Natomiast dla roczników starszych (od siedemnastu do dwudziestu kilku lat życia) — sprawy oświatowo-poglądowe stanowią potrzebę codzienną, i ograniczanie się szkoły w tym okresie jedynie do obiektywnych treści naukowo - dydaktycznych stanowi poważną, acz chyba nieuniknioną lukę, pomniejszającą jej wpływ wychowawczy na starsze roczniki młodzieży na rzecz innych czynników wychowawczych, o których wspominaliśmy powyżej.

III. CZYM JEST UNIWERSYTET LUDOWY

1. Przemiana wychowawcza

Uniwersytet ludowy jest instytucją wychowawczą obliczoną na potrzeby i właściwości psychiczne człowieka dorosłego. Jak w szkole praca dydaktyczna, tak w uniwersytecie ludowym praca wychowawcza jest głównym trzonem i zasadniczą treścią życia oraz działalnością tej instytucji. Wychowanie bowiem jest naczelnym celem i podstawową funkcją uniwersytetu ludowego.

Jeżeli chodzi o wpływ instytucji wychowawczej na jednostkę ludzką, to stwierdzić należy, iż z natury rzeczy jest on trudny do zaobserwowania. Sam proces wychowawczy jest w ogóle nieuchwytny, dzieje się bowiem w tajemnych głębinach ludzkiej psychiki, i jest zupełnie niedostrzegalny dla zewnętrznego obserwatora. Czasami jakieś oderwane fragmenty tego procesu przejawiają się niejako na gorąco, tj. w chwili jego stawania się, uzewnętrzniając się w zachowaniu poszczególnej jednostki, i wówczas możemy je obserwować pośrednio, tj. poprzez to zewnętrzne zachowanie. Zdarza się to jednak w chwilach raczej wyjątkowych, kiedy jednostka przeżywa jakiś wstrząs wewnętrzny i kiedy przeżywane przez nią treści jak gdyby nie mieszczą się w jej wnętrzu, manifestując się na zewnątrz w gestach, słowach i czynach niezwyczajnych, zwracając uwagę i dając się zaobserwować. Dobry wychowawca, obdarzony normalną intucją wychowawczą i pewną dozą doświadczenia w tym zakresie, potrafi z tych oderwanych przejawów wysnuć dla siebie i dla swej pracy odpowiednie wnioski. Zawsze jednak pamiętać musi, iż wnioski te, to już nie jest sama rzeczywistość psychiczna danego wychowanka, lecz tylko przypuszczalnie jej wyobrażenie, że zatem wymagają one czujności i ustawicznej kontroli, aby nie odbiegały zbytnio od tej rzeczywistości wewnętrznej, której są odbiciem.

Inaczej rzecz się ma z wynikami procesów wychowawczych, które stanowią czynnik bardziej stały i uchwytny, i pozwalają się stosunkowo swobodniej obserwować. Procesy wychowawcze bowiem — wywołane przez określone bodźce wychowawcze, których dostarcza życie i praca uniwersytetu ludowego — sumują się niejako w psychice wychowanka i wywołują w

niej nowe pojęcia, wyobrażenia oraz treści uczuciowe i nastawienia dążeniowe, dotychczas tam nieobecne, albo pobudzają do rozrostu te, które istniały nieświadomie w zarodku — co w sumie wywołuje zjawisko swoistej **przemiany** wewnętrznej danej jednostki. Ta właśnie wewnętrzna przemiana stanowi wynik pracy wychowawczej uniwersytetu ludowego, i w niej przejawią się najbardziej istotna i podstawowa jego funkcja. Ponieważ, jak wspomniano powyżej, jest ona zjawiskiem, które manifestuje się w życiu i zachowaniu się wychowanka jako czynnik stały i wielokrotnie powtarzalny, przeto — w przeciwieństwie do procesu wychowawczego — podpada ona pod obserwację i może być przedmiotem badania.

2. Charakterystyka przemiany wychowawczej

Pierwszym zjawiskiem, jakie rzuca się w oczy obserwatora, i które go często nawet zdumiewa, jest szybkość powstawania i realizowania się przemiany wewnętrznej wychowanka uniwersytetu ludowego.

Poszczególny kurs w uniwersytecie trwa, jak wiemy, zaledwie pięć miesięcy. I oto w tym stosunkowo krótkim czasie osiąga się większe i wyraziściej manifestujące się wyniki wychowawcze niż podczas wieloletniego oddziaływania wychowawczego jakiejkolwiek szkoły. Nic dziwnego, że przeciętny pedagog szkolny, znający z własnego doświadczenia możliwości wychowawcze szkoły, a nieświadom odrębności metod działania wychowawczego uniwersytetu ludowego — staje niejednokrotnie zdumiony przy zetknięciu się z zespołem uczestników dobrego uniwersytetu ludowego. Ma to miejsce szczególnie pod koniec wspomnianego powyżej pięcio-miesięcznego okresu pracy, kiedy wyniki pracy wychowawczej są już bardziej widoczne. Osobiście miałem możność obserwować niejednokrotnie tego rodzaju reakcje ze strony doświadczonych nauczycieli, którzy po raz pierwszy stykali się z pracą uniwersytetu ludowego.

Dogłębność i trwałość przemiany wychowawczej, wywoływanej oddziaływaniem uniwersytetu ludowego, to są dwie dalsze istotne jej właściwości. Zależą one od dwu czynników: 1) od możliwości osobistych wychowanka i 2) od rodzaju, poziomu i wartości wychowawczej pracy danego uniwersytetu ludowego. Im bogatszą osobowością jest słuchacz uniwersytetu ludowego, im hojniej uposażony jest przez naturę i posiada większe możliwości wewnętrzne, a z drugiej strony im większa jest wychowawcza skuteczność pracy danej placówki uniwersyteckiej — tym istotniejsza i bardziej wszechstronna jest przemiana wewnętrzna jednostki, tym głębsze i trwalsze są wyniki wychowawcze pracy uniwersytetu ludowego.

Na ogół każdy obiektywny i nieuprzedzony obserwator stwierdzić może fakt dużego wpływu wychowawczego pracy uniwersytetu ludowego. Dość przypomnieć szereg postaci działaczy chłopskich z okresu międzywojennego dwudziestolecia, którzy byli ongiś słuchaczami wspomnianych na wstępie ninejszego artykułu ludowych szkół rolniczych, organizowanych pod zaborem rosyjskim w pierwszych latach bieżącego stulecia; dość wspomnieć niedawne koleje walki konspiracyjnej z niemcami i rolę, jaką w tym zakresie odgrywali byli słuchacze uniwersytetów ludowych; dość chociażby wziąć udział w takim zgromadzeniu, jak ostatni zjazd byłych słuchaczy tzw. szycko-gackiego Uniwersytetu Ludowego, odbyty w sierpniu 1946 r. w Gaci Przeworskiej — aby zdać sobie sprawę z głębokości i trwałości wpływu wychowawczego uniwersytetu ludowego.

I jeszcze jedno stwierdzić należy, jeżeli się mówi o rodzaju przemiany wychowawczej jednostki w uniwersytecie ludowym, a mianowicie — swoisty i charakterystyczny uniwersalizm tej przemiany. Ogarnia ona bowiem i jak gdyby prześwietla całość życia duchowego jednostki, manifestuje się w całej jej postawie duchowej, we wszystkich jej poczynaniach i w ogóle w całym stylu jej życia. Nie mamy tu do czynienia ze spotykaną często fragmentarycznością wychowawczą; nie ma też nic z tego, co można by nazwać wychowawczą tresurą, czyli przyswajaniem pewnych zasad czy norm postępowania niejako na wiarę, bez dostatecznego umotywowania i powiązania z całością postawy duchowej jednostki. Wprost przeciwnie — uniwersytet ludowy harmonizuje i syntetyzuje życie duchowe swego słuchacza, dopomaga mu do ustalenia w tym zakresie generalnych linij wytycznych, a szczegóły pozostawia do samodzielnego uporania się z nimi.

Na zakończenie tej pobieżnej charakterystyki nasuwa się uwaga o charakterze terminologicznym. Chodzi mianowicie o zastosowany powyżej termin: „przemiana wychowawcza". Oczywiście używam tego terminu w sensie czysto użytkowym i nie roszczę sobie żadnych pretensji do jego naukowej wartości. Ale w tym wypadku o co innego chodzi, a mianowicie — o możliwość nieporozumień terminologicznych. Wyraz „przemiana" może nasunąć czytelnikowi przypuszczenie, że zadanie uniwersytetu ludowego polega z reguły i nieodmiennie na przekształcaniu światopoglądu człowieka. Dlatego należy wyjaśnić, iż w powyższym zastosowaniu wyraz ten ma nieco inne — szersze i głębsze znaczenie. Chodzi w nim nie tylko o świadome przekształcenia myślowo - światopoglądowe — aczkolwiek nie są one wykluczone — ale przede wszystkim o cały szereg różnorodnych przemian i przekształceń wewnętrznych, które zachodzą w psychice jednostki pod wpływem intensywnej uprawy wychowawczej tych jej dziedzin, które w normalnych kolejach żywota ludzkiego raczej ugorują.

Przemiana wychowawcza zatem ma miejsce nie tylko wówczas, gdy słuchacz wyzbywa się pewnych przeświadczeń ideologicznych na rzecz innych — co w uniwersytecie ludowym raczej rzadziej się zdarza — ale i wtedy również, gdy

się przy pierwszych swych założeniach ideowych utrzymuje, gdy się w nich utwierdza i pogłębia swój do nich stosunek. Ma ona oczywiście miejsce również w odniesieniu do słuchacza mniej rozbudzonego, który przed przyjściem do uniwersytetu ludowego nie miał określonych przekonań ideologicznych, a który na skutek pobytu w nim rozbudził się w tym kierunku i wszedł na drogę niepokojów i poszukiwań.

W ogóle zadanie uniwersytetu ludowego nie polega na dążeniu do ujednolicania ideowo-światopoglądowego słuchaczy. Oddziałuje on raczej na życie psychiczne jednostki, na bogactwo elementów tego życia i na głębokość jego nurtu. Jeżeli operuje w dość dużym stopniu treściami ideologicznymi, to nie na skutek odgórnie postulowanej dążności do zaszeregowania słuchaczy w służbę jakiejś określonej doktryny, lecz przede wszystkim dlatego, że okres wieku słuchaczy odznacza się wzmożonym zainteresowaniem tymi zagadnieniami, że jest na nie wielki popyt ze strony szybko dojrzewającej społecznie młodzieży.

Uogólniając, zaznaczyć należy, iż w pracy wychowawczej uniwersytetu ludowego głównym punktem wyjściowym jest człowiek, a nie idea czy doktryna. Problemy ideologiczne, jak w ogóle wszelkie treści programowe, są tu elementem bardzo ważnym, ale służebnym. Na człowieka, na jego potrzeby wewnętrzne, na jego właściwości psychiczne, na jego uzdolnienia i wartości twórcze — kładzie się główny akcent. Wypływa to z głęboko demokratycznej postawy, uznającej wartość życia poszczególnej jednostki ludzkiej. Nie mówcie, iż jest to przestarzały demoliberalizm wychowawczy, bo i demokracja przyszłości, którą często określa się współcześnie jako tzw. demokrację społeczną, nie posiada innych źródeł i rezerwoarów twórczych, jak indywidualna psychika ludzka i ukryty w niej „zaczarowany skarb" twórczych sił i zdolności, którym powinna zapewnić odpowiedni klimat i uprawę, aby mogły rozwijać się i dojrzewać oraz plonować jak najobficiej.

3. Drogi osiągania przemiany wychowawczej

Omówimy tu pobieżnie cztery drogi, którymi zmierzamy do osiągnięcia tego, co nazwaliśmy powyżej przemianą wychowawczą uczestnika uniwersytetu ludowego.

Pierwsza droga prowadzi do oznaczonego powyżej celu poprzez ześrodkowanie całej uwagi i wysiłków instytucji przede wszystkim na pracy wychowawczej oraz na problematyce i treściach ściśle z tą pracą związanych, z wyłączeniem celów utylitarnych— tak o charakterze zawodowym jak i społeczno-technicznym.

Jak to już wyżej wspomniałem, uniwersytet ludowy jest to jedyna w Europie instytucja oświatowo-wychowawcza, poświęcona bez reszty działalności wychowawczej. Powiedzenie to rozumieć należy nie w tym sensie, jakoby odbywały się tam jakieś nadzwyczajne czy też zgoła niesamowite „seanse wychowawcze" — jak to sobie wyobrażają niektórzy nasi publicyści — ale zwyczajnie i po prostu, że: po pierwsze — na sprawy wychowawcze nie szczędzi się tam czasu, a po drugie, że całość działalności instytucji podporządkowana jest zadaniom wychowawczym, i że zadania te stanowią główne kryterium dla doboru i oceny tak treści jak i metod pracy.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wiek słuchaczy oraz charakterystyczną dla niego problematykę zainteresowań, pochłaniającą całą uwagę i świadomość jednostki na rzecz spraw o charakterze zasadniczym, światopoglądowym, na rzecz wątpliwości i poszukiwań religijnych, moralnych, filozoficznych, społecznych, politycznych itp. — to będziemy mieli miarę i wyobrażenie skali zagadnień, jakie atakują świadomość młodego człowieka. Jeżeli zaś dodamy do tego cały nacisk, jaki na tę świadomość wywiera aktualna rzeczywistość naszego życia zbiorowego, która ze swej strony stanowi dostatecznie splątany gąszcz haseł, programów, wezwań, sloganów itp., i to nie izolowanych czasem ani przestrzenią, ale rozlegających się też obok w rodzinie, w biurze, w fabryce, w warsztacie, w szkole, narzucających się świadomości i wyobraźni z nieuniknioną natarczywością i wymagających praktycznego ustosunkowania się — to będziemy mieli miarę spraw, jakimi ta pierwsza skala jest przez aktualne życie uzupełniana. I jeżeli teraz zestawimy z tym wszystkim kilkumiesięczny okres, w ciągu którego młody człowiek ma się z tym wszystkim przy naszej pomocy uporać, ma wypracować sobie odpowiedzi przynajmniej na najbardziej podstawowe i najpilniejsze pytania, ma dostrzec ścieżkę wyprowadzającą go z dżungli — to jasnym nam się stanie, dlaczego ludzie uniwersytetów ludowych bronią się przed nieprzemyślanymi zresztą postulatami, żądającymi rozszerzenia wachlarza zagadnień programowych tych placówek również na utylitarne treści i umiejętności dydaktyczne.

Uniwersytet ludowy broni się i będzie się bronił przed próbami naginania jego działalności tak w kierunku szkoły zawodowej—wszystko jedno rolniczej czy innej, jak również w kierunku zakładu naukowego o typie szkoły społecznej, dostarczającej wiadomości i umiejętności o charakterze społeczno-technicznym i praktyczno-organizacyjnym. Gdyby uniwersytet ludowy poszedł na jakieś istotne ustępstwa w tym zakresie, to przestałby być tym, czym był dotychczas, co zdało egzamin życiowy, i czego potrzeba nie jest przez nikogo kwestionowana. Dlatego też należy uszanować podstawowe zasady, na których oparta jest struktura wewnętrzna uniwersytetu ludowego, a ewentualne postulaty rewizjonistyczne formułować po dokładnym namyśle i ze zrozumieniem istotnej struktury tej instytucji. Jest to bowiem dziedzi-

na niełatwa i skomplikowana, i wszelkie nie dość przemyślane i skontrolowane hasła czy postulaty mogą jej tylko zaszkodzić.

Druga droga urzeczywistnienia celów i zadań wychowawczych uniwersytetu ludowego prowadzi przez rozwijanie i utwierdzanie właściwego młodemu człowiekowi w ogóle, a młodzieży chłopskiej w szczególności, pozytywnego i optymistycznego stosunku do życia przez ugruntowywanie młodzieńczej wiary w sens i wartość życia jednostki i zbiorowości, w moc i wartość ludzkiej pracy oraz w rację i celowość walki o sprawę w służbie wyznawanej idei.



Pierwszy gmach Uniwersytetu Ludowego w Gaci Przeworskiej—pobudowany siłami samych chłopów.

Walczy, zdobywa i przekształca życie tylko ten, kto wierzy. Zdobywczy i zwycięski stosunek do życia na jakimkolwiek polu może mieć tylko taka jednostka, która wie, czego chce i do czego zmierza, która wierzy w słuszność swych dążeń i potrafi konsekwentnie je realizować. Dlatego, mówiąc o utworzeniu afirmatywnej i optymistycznej postawy życiowej młodego człowieka u jego życiowego startu, nie mamy na myśli jakiegoś ckliwego cierpiętliwego sentymentalizmu, odgradzającego jednostkę od realnego życia. Wręcz przeciwnie — optymizm, pogoda i równowaga wewnętrzna powinna być utrzymana i zachowana nie w izolacji od życia realnego i jego trudności, ale w związku z nim i pośród najbardziej skłębionych jego nurtów i przeciwności. Przebieg ubiegłej wojny, a w szczególności doświadczenia długotrwałej hitlerowskiej okupacji przekonują nas, że jest to możliwe i realne nawet w najtrudniejszych zewnętrznie warunkach, bo nie trudności zewnętrzne obezwładniają człowieka, lecz wewnętrzne sprzeczności, rozterki i wątpliwości, które odbierają wiarę w pozytywny sens życia oraz wartość pracy, wysiłków i walk życiowych.

Trzecia droga—to budzenie i rozwijanie własnych wewnętrznych sił i możliwości twórczych jednostki oraz wszechstronne i jak największe jej uaktywnienie: tak psychiczne — w pracy nad sobą, jak i społeczne — w pracy dla własnego środowiska oraz dla narodu i ludzkości.

Droga ta, którą nie od dziś zresztą kroczą uniwersytety ludowe, stanowi dziś właśnie jeden z najbardziej spornych postulatów. Jedynym atakowanym w prasie punktem statutu Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej jest ten właśnie punkt, który mówi o budzeniu przez uniwersytet ludowy wewnętrznych sił twórczych jednostki.

Sformułowaniu temu przeciwstawiane jest obecnie prawo, podkreślające doniosłość wychowawczą wielkiej idei społecznej, które — przychodząc z góry — zdobywa sobie zwolenników i wyznawców, a przez to samo wprowadza do życia zbiorowego narodu określoną hierarchię wartości oraz czynnik koordynacji społecznej rozproszonych indywidualistycznych jednostek i ich poczynań. Nastawienie się wychowawcy na rozbudzanie i uprawę wychowawczą indywidualnych właściwości i wartości twórczych jednostki — wzbudza obawę przed wzmożeniem przysłowiowego polskiego wybujałego indywidualizmu, a tym samym osłabieniem wpływu uspołeczniającego uniwersytetu ludowego, który stanowi niewątpliwie jedno z najbardziej podstawowych zadań tej instytucji.

To poprawne logicznie rozumowanie posiada jedną ważną lukę, a mianowicie — nie uwzględnia ono faktu, iż wszelkie indywidualizujące zabiegi i wpływy wychowawcze uniwersytetu ludowego znajdują mocną przeciwwagę w jego wpływie uspołeczniającym, który wynika już choćby z faktu ścisłego współżycia i współpracy zespołowej wszystkich uczestników danego rocznika uniwersytetu ludowego. Wzmaga zaś tę przeciwwagę ważne wychowawczo zjawisko wysokiej atmosfery społecznej, panującej w tzw. rodzinie uniwersyteckiej, a wynikające z poczucia służby wspólnemu ideałowi społecznemu, jakim jest idea demokracji oraz wizja demokratycznej Polski i odradzającej się przez demokrację nowej polskiej wsi.

Niedarmo wszak angielscy i niemieccy pisarze pedagogiczni nazwali uniwersytet ludowy szkołą demokracji. Widocznie znaleźli w tej instytucji coś szczególnie dla demokracji istotnego, bliskiego i doniosłego. A nie było to nic innego, jak ten właśnie znamienny fakt, że uniwersytet ludowy harmonizuje w swej strukturze dwa pozornie przeciwstawne czynniki, gdyż z jednej strony rozbudza w jednostce możliwie wszystkie jej wewnętrzne siły i wartości twórcze, z drugiej zaś — równocześnie działa uspołeczniająco przez wprzęganie ich w służbę zbiorowości, jako czynnika nadrzędnego. Wszystko jedno czy tą zbiorowością będzie rodzinna wieś, słuchacze uniwersytetu ludowego, czy jego organizacja ideowa, czy też własny naród,

albo i cała ludzkość. Wszystko to są jakby etapy czy szczeble, które, angażując uwagę, energię i entuzjazm jednostki ludzkiej — stanowią jak gdyby drogowskazy jej uspołecznienia.

To, co chciałbym tu określić jako czwartą drogę wywoływania urzeczywistnienia przemiany wewnętrznej słuchacza uniwersytetu ludowego, realizuje się przez objęcie oddziaływaniem wychowawczym wszystkich czynników składowych psychiki młodego człowieka, a więc przez oddziaływanie nie tylko na czynnik umysłowy tej psychiki, ale również i na dziedzinę życia instynktowo-uczuciowego, na sferę pojęć i odczuć społeczno-moralnych, na świat wyobraźni oraz na związaną ściśle z życiem instynktowo-emocjonalnym dziedzinę impulsów dążeniowych, czyli na akty woli.

Mówiliśmy już powyżej o jednostronności oddziaływania szkolnego na psychikę ucznia, wyrażającej się w uprzywilejowaniu sfery życia umysłowego i w wynikającej stąd przewadze funkcyj dydaktycznych. Jeżeli uniwersytet ludowy usiłuje uniknąć tej jednostronności, to nie znaczy wcale, aby nie doceniał wagi treści intelektualnych czy też konieczności rozwijania sprawności umysłowych swych wychowanków. Stara się on tylko nie zaniedbać innych dziedzin psychiki człowieka, a więc oddziaływać wychowawczo w sposób bardziej harmonijny i wielostronny.

Ta zasada stanowi główne kryterium budowy programu uniwersytetu ludowego, czyli doboru treści pracy wychowawczej oraz metod tej pracy. Punktem wyjścia przy tym doborze jest człowiek traktowany nie tylko jako jednostka, lecz również jako społeczność, oraz jego wielokierunkowe — tak indywidualne jak społeczne — właściwości i potrzeby. Kryterium to stanowi jeden z zasadniczych czynników, decydujących o strukturze wewnętrznej uniwersytetu ludowego oraz o jego odrębności strukturalnej w stosunku do szkoły, której program i dobór metod dydaktycznych opiera się na całkowicie odmiennych, a omówionych już pokrótce powyżej zasadach.

WŁADYSŁAW WYŁUPEK
(W. U. L. Rachanie)

Z rozważań i przeżyć w Rachańskiej Chacie

II

Całość życia Uniwersytetu — to duży szmat życia rodziny w oparciu o niczym nieskrępowaną wolność, pojętą jako indywidualne działanie określone w granicach dozwolonych moralnością społeczną — poszanowaniem drugiego człowieka. Przeświadczenie o tym, że tylko człowiek wychowany w atmosferze wolności, z rozbudzonymi tęsknotami do czynu twórczego, po wyzbyciu się samolubnych zapędów może tworzyć lepsze życie, kazało unikać tego, co by jednostce rygorystycznie przypominało obowiązek przez regulamin czy nakaz, a dążyć do wywołania wewnętrznego poczucia powinności przez przykład w postępowaniu i słowie.

Przede wszystkim wychowanek wchodząc do Uniwersytetu zdobył przeświadczenie o swobodzie i wspólności rodzinnej, i o tym, że jest naprawdę jakby w domu własnym. Duch przyjaźni i bezpośredniości, koleżeństwo raczej—niźli choćby najlepszy i najmilszy, ale wybitnie ojcowsko-opiekuńczy stosunek wykładowców do słuchaczy — dało im swobodę szerokiego działania określonego normą współżycia i pozbawiło całkowicie onieśmielenia. Nie znaczy to, by—poprzez tak pojęty stosunek — wykładowcy mieli być nie szanowani lub nie uznawani przez słuchaczy. Odwrotnie, stwierdzić należy bardzo ciekawe i szczere współżycie, jakie wyłoniło się pomiędzy dwoma na pozór — a w gruncie rzeczy jednym społecznie, moralnie i psychicznie — zespołami: wykładowców i słuchaczy. Prawie równi wiekiem, byliśmy jedynie bardziej doświadczeni, o większym rozmachu życiowym i może więcej „naładowani" wiadomościami. Staraliśmy się dogłębnie zgruntować idee i sens działania uniwersytetu, i to swoim młodszym kolegom na kursie wszczepić. Wchodząc w taką atmosferę, wychowanek znajdywał właściwe miejsce na uzewnętrznienie swoich głębszych zainteresowań i ujawnienie nałogów, z których jedne trzeba było wzmagać, inne usuwać.

Tutaj nawiasem wtrącić trzeba, że nie przychodzili wyłącznie tylko tacy, co mieli w całej pełni skrystalizowany światopogląd społeczny i pojmowali wartość Uniwersytetu; odczuwali go podświadomie, i wierzyli w jego dobrą moc oddziaływania. Nie były to wyłączne „cudowne dzieci", jak to jestem skłonny sądzić — słuchając wywodów niektórych wykładowców z innych uniwersytetów podczas konferencji — kursu w miesiącu lipcu r. b. w Ursynowie pod Warszawą. Byli to tacy, co w całej pełni reprezentowali przekrój dzisiejszej wsi.

Wielu z nich nastawionych było na to, że spotka tu gromadkę intelektualistów-społeczników żyjących stylem inteligenckiego życia — przed czym tak trudno uchronić się nawet inteligentowi wyzwolonemu wewnętrznie z poczucia swej wyższości nad otoczeniem — którzy spełniają cierpiętniczo misję kulturalnego „dźwigania" wsi. Tyle się dzisiaj bowiem mówi o poświęceniu się oświatowców na placówkach głodu, tj. w szkolnictwie wszelkiego rodzaju.

Z chwilą zetknięcia się na terenie Uniwersytetu z zespołem wykładowców upadał osąd o wyższej wartości społecznej człowieka pracującego „głową", od tego, który pracy fizycznej zawdzięcza wszystko.

Ze swej strony staraliśmy się wyłamywać codziennie, w każdej sytuacji, swoim głębokim i szczerym stosunkiem do słuchacza barierę, jaka istniała i istnieje do dziś w kręgu życia chłopów i inteligentów, mimo najszczersze deklaracje wielu z tych ostatnich. Ta bezpośredniość i to bezpretensjonalne obcowanie pozwoliło stać się wykładowcom powiernikami tajemnic, trosk, kłopotów i radości, zamierzeń i tęsknot wychowanków.

Wejście do domu, do zespołu ludzi, gdzie życie ma iść zwyczajnymi drogami gromady wsiowej — oświetlonymi poczuciem swojej potrzebności i wartości bezstronnych — gdzie są rodzinne wspólne sprawy i powinności z tytułu tego współżycia, nakazywało nam wprowadzić słuchaczy w poznanie obowiązków, jakie każda czy każdy winno wykonywać, by życie toczyło się bez większych trudności — spokojnie. Poznanie tego sposobu życia i bycia rozwiązało zagadnienie ładu wewnętrznego i porządku na codzień.

W codziennych przedpołudniowych rozważaniach wchodziliśmy w daleką odległość istnienia, w czasy mgławic i gwiazd, by w dalszych wywodach pojąć budowę wszechświata, rozważyć zagadnienie materii i ziemi, i uzmysłowić sobie jej powstawanie. Skorupa ziemska krzepła coraz bardziej, ziemia nabierała kształtu kuli elipsowatej, stygła i wytwarzała warunki, w których powstało w późniejszym okresie geologicznym życie.

Człowiek nie był istotą najwcześniejszą na kuli ziemskiej. Przed nim istniały jednokomórkowce w kałużach wód, gdzie w cieple słońca powstawało życie pierwszych istot; te zaczęły wychodzić na brzeg i przystosowywać się do warunków życia. Udoskonalał się w ten sposób najdzielniejszy typ stworu. Okresy zimne czy gorące powodowały szybszą eliminację mniej odpornych, słabszych istnień.

Człowiek na tej drodze — jak nam mówią nauki przyrodnicze — od istoty jednokomórkowej do organizmu złożonego doszedł w ciągu wielu milionów lat. Potwierdzają nam to dokumenty zastygłe w postaci skał geologicznych.

Nie był on istotą jedyną; poza obszernym i licznym światem zwierząt — gdzie granica między rybą, ssakiem i ptakiem była mało uchwytna — istniał różnorodny i wspaniały świat roślinny, piękniejszy może i bogatszy jak dziś. Ale człowiek stawał się panem sytuacji; zjednywał, pokonywał i podporządkowywał sobie zwierzęta i siły przyrody. Rozmnażał się i rozprzestrzeniał. Zaczął tworzyć gromadę ludzką wspólnie pracującą i wspólnie walczącą w obronie życia. Już zatem w zamierzchłych czasach wytwarza się, na skutek konieczności, styl zbiorowego bytowania i powstaje sens społecznego działania. To doprowadzi do idei zbiorowego życia i wytworzenia instytucji, jaką jest państwo, mogące zabezpieczyć i ułatwić życie zespołowi ludzkiemu, szerszej gromadzie, mającej pewne wszystkim wspólne cele.

Państwo nie jest jedynie uwarunkowaną i narzuconą — wyłącznie przez siły nadzwyczajne — organizacją społeczeństwa, lecz w znacznej mierze tworem dobrowolnym ludzi go tworzących. Przed państwem i przed narodem jako pojęciami realnymi był człowiek samodzielny, do niego należał świat. Człowiek ten coraz bardziej, do dziś, doskonali się, pokonuje trudności, opanowuje glob ziemski nie na rzecz jednostki wyłącznie, ale gromady. Na każdego zatem spada obowiązek przeniesienia z przeszłości w przyszłość i pomnożenia dorobku ludzkiego. Wszyscy ongiś byli sobie równi; jaskrawe nierówności są następstwem, w większości wypadków, drapieżności i zaborczości człowieka, który te ujemne cechy wspaniale wyćwiczył w ciągu długich tysięcy lat przy wielu, wielu okazjach.

Rozważając zagadnienia przyrodnicze musieliśmy, z konieczności, już w tym miejscu zahaczyć o momenty ustrojowo-prawne, bowiem tak nakazywała ciągłość myśli — wydało nam się słusznej.

Skoro, jak rzekliśmy — człowiek jest dłużnikiem poprzednich pokoleń twórców naszej kultury, musi swój stosunek do życia i do otoczenia regulować jedynie słuszną — wydaje mi się — racją: pracą twórczą i postawą szlachetną wobec otoczenia.

Po swoich przodkach każdy odziedziczył historię swej, ongiś, nicości wobec tajemnic bytu i welkości świata oraz poczucie jednorodności ze wszystkimi ludźmi. Moralnym zatem prawem życia jest stanowienie jedni ludzkiej, wyrzeczenie się pretensji do niesłusznych i nieuzasadnionych przywilejów, pretensji opartych na fantazyjnych wyobrażeniach o szlachetności pochodzenia, micie rasy, kultury czy nawet sfery. Żadne wobec tego sygnety z herbowymi tarczykami, liberie magnackie czy własne „manienie" się elity mieszczańskiej lub inteligenckiej nie mogą mieć istotnego znaczenia w życiu nowoodradzającego się człowieka, promieniującego coraz bardziej kulturą pracy twórczej.

W założeniach teoretycznych momenty te były przez nas zwalczane (ktoś rzekłby: degradacja życia — nieprawda!) i jednocześnie jakiekolwiek, drobne nawet, albo — wydawałoby się — znaczące akcenty w życiu naszej rodziny, świadczące o skłonnościach do wywyższania się, były bezboleśnie, niepostrzeżenie usuwane.

Ginęły one w atmosferze całości rodzinnej — w chwili jednoczenia się wszystkich — we współżyciu całego zespołu wychowawców i wychowanków.

Jak to się przejawiło w życiu Uniwersytetu i czy to będzie miało trwały skutek? — Sądzę że tak.

Niechaj posłużą przykłady.

W pierwszych dniach otwarcia kursu męskiego w ub. roku zgłosiło się do nas dwóch młodzieńców, zewnętrznie wyglądających na „ząbkujących" inteligentów, z dużymi — wydało nam się — skłonnościami do fałszywej postawy w życiu i dążeniami do przewagi nad innymi we współżyciu. Przyszli, bo zostali namówieni przez naszego przyjaciela, z którym współpracowali i walczyli w oddziałach partyzanckich, w czasie walk polsko-ukraińskich wiosną 1944 roku. Starszy z nich był oficerem prowiantowym, a młodszy adiutantem wyższego oficera wojska podziemnego, synem inteligenta chłopskiego pochodzenia. Obydwaj zatem mieli „odziedziczone" lub nabyte mniemanie o swojej wyższości. Sprawę tę jeszcze bardziej podkreśla fakt, że na parę miesięcy wcześniej, w czasie trwania pierwszego kursu żeńskiego, mieli oni nieprzyjazny stosunek do Unwersytetu, nie mając przy tym ani odrobiny prawdziwej wiadomości i właściwego pojęcia o tej placówce, jej programie i celu. Ot, po prostu przyszli tutaj, sterani życiem na skutek namowy swego kolegi: chcieli odpocząć. I tutaj dopiero otwarły im się oczy.

Początkowo — jak sami mówili — raziła ich duża różnorodność zespołu koleżeńskiego, a może byli nawet zawiedzeni, sądząc że grono wykładowców — to „uświęcone" sumiastymi wąsaci lub łysiną okoloną siwizną włosów — chodzące „mądrości". Czuli się na wstępie obco i trochę jakby nieswojo. Młodszy z nich, kol. Zenek, przez dłuższy czas nie mógł zmienić terminu „pan" na „kolego", i to go stawiało czasami w frasobliwej sytuacji. Był bowiem wychowany w środowisku życia inteligenckiego, gdzie wyraz „nie wypada" był przede wszystkim na porządku w słowniku rodziny, a następnie podporządkowanie się i przyjęcie „postawy zasadniczej" wobec przełożonego w wojsku utrwaliły w nim rys hierarchii społecznej. Dopiero dłuższy pobyt i obcowanie z otoczeniem pozwoliło mu na przełamanie siebie i uszeregowanie się w gromadzie we właściwym miejscu. Ciekawy był stosunek starszego, kol. Władka do najmłodszego na kursie osiemnastoletniego „beniaminka" — jak go zwano — kiedy to ten ostatni przez dłuższy czas zwracając się do wąsatego „wujka" (takim mianem ochrzcili koledzy Władka) używał wyrazu „pan", ponieważ Władek odnosił się do niego jak do młokosa. Trudno mu było uznać go za równorzędnego kolegę. O ile na początku kursu prawie przesadna układność w stosunku do wykładowców, szczególnie ze strony kol. Zenka była zbędna, to koleżeńskość w stosunku do młodszych słuchaczy była za słaba i zbyt „sztywna". Powoli jednak zaczął się ten stosunek zmieniać. Wszyscy stawali się sobie nie tylko kolegami, ale wielu i bardzo szczerymi przyjaciółmi.

Muszę nadmenić, że i my jako wykładowcy (szczególnie z kolegą Stanisławem) byliśmy trochę zakłopotani, co z tym „fantem" zrobić. Obydwaj zaczynaliśmy po raz pierwszy w życiu pracę w uniwersytecie ludowym. Nie byliśmy do tego przygotowani — z wyjątkiem kol. Kierownika, który prawie sam przeprowadził już jeden kurs żeński — nie wiedzieliśmy, jak się do pracy zabrać. Byliśmy obładowani zapałem, ale i świadomi odpowiedzialności. Jak się wziąć do rzeczy, by trafić do tego właśnie najmłodszego, u którego najwyraźniej występuje poczucie niższości, i do tych, którzy już „z niejednego pieca" chleb jedli, mają za sobą taką czy inną przeszłość, wyczyny jak również swój osąd — choćby nawet wypaczony — na pewne sprawy, i swoją przynależność społeczną.

Gdy mówiłem o inteligencji w ogóle, o tym, że nie spełniła ona tego zadania, którego podjęła się przejmując przewodnictwo w narodzie po upadłej szlachcie, nie przerzuciła pomostu pomiędzy wsią a miastem, wyodrębniła się stanowo i zaczęła tonąć w samochwalstwie; że to szczególnie chłopi mają prawo obciążyć inteligencję chłopskiego pochodzenia — która zginęła w środowisku mieszczańskim — za „zerwanie więzów łączących ją z rodną ziemią" — starałem się odczuwać myśl kol. Zenona i wierzyłem, że jeżeli w tej chwili czuje — to słowa moje są krzepiącymi razami jego zbolałej, stojącej w rozwidleniu dróg duszy.

Gdy mówiłem o historii chłopów, wydawało mi się, że to go może na razie razić, że mówię tak dużo o krzywdzie tej warstwy, ale czułem jednocześnie, że w tej właśnie chwili wyciąga swoje pochodzenie, hen z dalekiej przeszłości wolnych kmieci prapiastowskich i snuje nić rodowodową poprzez wieki cierpień i walk chłopskich.

Nasze przeświadczenie, że ci dwaj młodzi ludzie poczują się w całej pełni złączeni duchowo z wielką chłopską rodziną, zostało w pełni potwierdzone. Wyrzekli się oni wszelkiej próżności; zrozumieli, że życie na przestrzeni historii, od początku swego istnienia uszeregowało wszystkich jednakowo, że każdy ma to samo pochodzenie i że wszyscy mają duże obowiązki w życiu. Obcowanie wspólne dokonało swego. Poczuli się dogłębnie związanymi z warstwą chłopską, nie w deklaracji, ale w życiu realnym na codzień. Gdy na zakończenie kursu wypadło kol. Zenonowi przemówić, powiedział: „Jestem związany z warstwą chłopską, z której wyszedłem, i z drogi jej życia i walki nie zejdę nigdy. Będziemy, my chłopi, w każdej sytuacji i na każ-
i z drogi jej życia i walki nie zejdę nigdy. Będziemy, my chłopi, w każdej sytuacji i na każ-dym miejscu walczyli o Sprawiedliwą Polskę Ludową". A odchodząc z Uniwersytetu napisał w kronice: „Żegnaj, Uniwersytecie. Wychodzę stąd na drogę życia pokrzepiony na duchu. Pa-

mięć o tobie pozostanie dla mnie zawsze żywa i piękna, i w chwilach słabości myśl o Tobie mnie wzmocni".

Drugi „zasymilowany" kol. Wujcio napisał: „Tu właśnie a nie gdzie indziej zdobyłem wiarę w lepszą przyszłość; tu właśnie pokrzepiłem moją skołataną duszę, bo Ty wprowadziłeś mnie na jasną i prostą drogę życia". Słowa te świadczą wiele o przemianie duchowej, jaka odbyła się u nich w czasie pobytu w Uniwersytecie, gdzie znaleźli „jasną i prostą drogę życia".

Dzisiaj są oni związani z Uniwersytetem jak najmocniej — duszą i ciałem; są jego najbardziej gorącymi przyjaciółmi; — oni wczorajsi przeciwnicy. Obydwaj pracują społecznie i zawodowo, i obydwaj — mimo dużej odległości — nie ma prawie tygodnia, by nie odwiedzili Uniwersytetu, wspominając swoje przeżycia i przeobrażenia, jakie tu przeszli.

Nie tylko zresztą na kursie męskim miały miejsce tak wyraźne momenty przeobrażeniowe na skutek rozważań przyrodniczo-historycznych i socjologicznych, lecz i na żeńskim zaistniało podobne zjawisko. W trzecim czy czwartym tygodniu trwania kursu zgłosiła się do Uniwersytetu córka kierownika szkoły w okolicy z prośbą o przyjęcie. Spóźnienie swoje uzasadniała chorobą. Rozważaliśmy, czy ją przyjąć i stanęło na tym, że może na razie pozostać jako wolna słuchaczka, z tym że jeżeli będzie się tu źle czuła, może odejść każdej chwili. Przestrzegaliśmy ją, że na pewno będzie jej się trudno dopasować do wytworzonej już koleżeńskiej atmosfery i stylu życia w Uniwersytecie. Czuliśmy, że bodźcem do przyjęcia tutaj była rosnąca wciąż w terenie opinia, że nasza placówka — w dzisiejszych warunkach — jest coraz bardziej honorowaną, a Uniwersytet Rachański wraz z personelem jest szczególnie uprzywilejowany. Było to wszystko nieprawdą, skoro już jednak fama tak głosiła, nie widzieliśmy potrzeby prostować — i tak pozostało. Poza tym pochodziło to i stąd, że wychowankowie nasi zaczynali być coraz bardziej czynni i widoczni dla otoczenia. Nadto nasze powiązanie się ze Związkiem i praca z młodzieżą wiciową były może i przyczyną, że miejscowe władze oświatowe przy organizowaniu kursu pedagogicznego zapewniały byłym słuchaczkom i słuchaczom miejsca, ba, nawet zabiegały o „absolwentów" Uniwersytetu.

Kol. Krysia zdecydowała się więc na przyjście i pozostanie u nas. Widzieliśmy, jakie przeżywa momenty i przełamuje przeszkody wewnętrzne, jak — dzięki dużej inteligencji — próbuje przystosować się do życia, do otoczenia, cicho, niepostrzeżenie i spokojnie. Pozostała. Chwilowa obojętność — szczególnie dla niektórych zagadnień — przeszła w zainteresowanie, by następnie stać się przeżyciem. Była opóźniona; musiała innymi drogami: poprzez czytanie i rozmowy, uchwycić wątek początku rozważań. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, ile kosztowało ją wysiłku — w pierwszych dniach pobytu — spokojne i opanowane wysłuchiwanie wywodów, między innymi o tzw. „niedoszłej inteligencji"; sama była nieskończoną maturzystką. Ale i tę „operację" przeszła zwycięsko. W dyskusjach toczących się wieczorami coraz częściej zabierała głos, celując rzeczowością wypowiedzi. Zaczęła przyjmować historię chłopów nie na uczucie, lecz na rozsądek. Nigdy do końca — wydaje mi się — nie zdobyła się na pełne uczuciowe przeżywanie chłopskiej martyrologii. A mimo to, żegnając się z nami powiedziała w imieniu wszystkich koleżanek: „Zrozumiałyśmy swój cel w życiu. Człowiek nie może nigdy być szczęślwy, gdy szczęście to dla siebie tylko chce stworzyć. Obowiązkiem każdego — służyć człowiekowi, narodowi, ludzkości. Nie dziękujemy Wam, ale chcemy, by nasza dalsza praca i walka o zrealizowanie tych ideałów, o których mówiliście tutaj, a które są naszymi, były dla Was najlepszą podzięką. Chcemy służyć Sprawie Ludowej i Polskiej. Z drogi, na którą weszłyśmy, nie zejdziemy do końca życia! Jest to nasze ślubowanie".

To credo wypowiedziane w imieniu wszystkich jest równocześnie odbiciem jej odczuwania wewnętrznego — stanu duchowego. Uniwersytet miast stać się protektorem w uzyskaniu posady, stał się źródłem jej nowych myśli i poczynań.

Nie kwestia posady, lecz zagadnienie całokształtu istnienia człowieka stały się dla niej sprawą najważniejszą. I wydaje nam się, że zarówno zwrot pod adresem naszym w pożegnaniu kol. Krysi, jak i określenie linii zasadniczej na jej dalsze życie są świadectwem spełnienia właściwej roli, przez nowy, niedawno do życia powołany Uniwersytet Ludowy.

Nikogo nie namawialiśmy na posłannictwo i cierpniętnictwo, nikomu nie kazaliśmy być „apostołem wiary" ludowej, ale to się i bez naszej woli stało, bo stać się musiało.

Dziecko chłopskie — choćby zawieruszyło się w dziedzinach pozawiejskego świata — przechodząc przez życie Rodziny Uniwersyteckiej, staje się wyznawcą i żarliwym bojownikiem Sprawy Ludowej, poprzez zwycięstwo której da się zrealizować sprawiedliwe jutro człowieka w Ojczyźnie.

Dokoła teatru ludowego

(ARTYKUŁ POLEMICZNY)

Nigdy jeszcze dotąd na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat nie ukazało się tylu na raz artykułów dyskusyjnych i uwag o teatrze ludowym, co w ciągu krótkiego czasu powojennego. Świadczy to niewątpliwie o doniosłej roli, jaką się teatrowi ludowemu przypisuje. Ministerstwo Kultury i Sztuki okazało wiele zrozumienia dla tej dziedziny i powołało osobny referat teatru niezawodowego, w którym znalazł swoją szufladkę również teatr ludowy. Ponadto powołano do pracy w terenie urzędowych instruktorów teatralnych, zorganizowano Instytut Artystyczny w Kazimierzu nad Wisłą i Liceum Teatralne w Grójcu Mazowieckim. Nawet Zjazd Pedagogów Teatralnych w Łodzi powołał specjalną komisję dla spraw teatru ludowego, która zaleca kształcenie pracowników teatru ludowego w dwuletniej szkole teatralnej. Słowem, nowa era teatru ludowego.

Zdawać by się mogło, że już nic nie stoi na przeszkodzie, aby teatr ludowy stał się wobec nowej sytuacji „najwłaściwszą formą kultury społecznej naszej wsi". Spróbujmy po kolei zestawić głosy prasy.

Zaczniemy od artykułu Zygmunta Kałużyńskiego w n-rze 15 „Wsi" — „Czy teatr ludowy się odrodzi?" — Nie wiadomo skąd autor zaczerpnął dane statystyczne, wykazując w roku 1937 *sto tysięcy* ludowych zespołów teatralnych, które dały w ciągu roku przedstawienia dla 10 milionów widzów. Przyjmując za podstawę dane Małego Rocznika Statystycznego z roku 1938 stwierdzamy, że na terenie całej Polski było 40.529 gromad, co świadczy, że na każdą gromadę wg obliczeń Kałużyńskiego przypadałoby więcej jak po dwa teatry. W tymże Roczniku Statystycznym znajdziemy dane o ilości zespołów teatru ludowego i niezawodowego na terenie całej Polski: podano tu 10.146 zespołów, które dały 32.323 imprez. Cyfry te są zresztą zgodne ze statystyką organizacji teatrów ludowych w Polsce za rok 1937. (Patrz miesięcznik „Teatr Ludowy" z roku 1938, nr 3, str. 94). Składa się na to: 1076 zespołów przynależnych statutowo do regionalnych związków teatrów ludowych, 2.466 zespołów *obsługiwanych* tylko przez regionalne związki (zespoły teatralne kół młodzieży wiejskiej, straży pożarnych, kół gospodyń wiejskich itp.) oraz 6.604 zespoły zarejestrowane przez władze szkolne (były to zespoły przygodnie organizowane, zazwyczaj doraźnie przez komitety obchodu 3 maja, Święta Niepodległości itp.). Dalej przytacza Kałużyński aż 10 tysięcy pozycji wydawnictw teatru ludowego powołując się na Bibliografię Łaskiej. Jest to znowu cyfra nie odpowiadająca rzeczywistości, gdyż „Bibliografia Ruchu Teatrów Ludowych w Polsce za lata 1901—1935", opracowana przez Marię Łaską, a wydana przez Instytut Teatrów Ludowych, zawiera tylko 775 pozycyj. Jeśli zaś uwzględnimy, że w Bibliografii tej jest duży procent takich pozycji, jak: *Tenner J.* — Technika żywego słowa, *Wołkoński S.* — Człowiek wyrazisty, *Brumer W.* — Twórczość aktorska, *Filozofówna I.* — Próba badań psychologicznych nad grą aktorską, *Hagemann* — Aktor i sztuka aktorską, *Reinhardt* — Aktor, *Szyndler J.* — Inscenizacja Shakespeara itp., które to prace mają się tak do teatru ludowego jak teoria kwantów do tabliczki mnożenia, to wydawnictwa dotyczące teatru ludowego możemy obliczyć najwyżej na 500 pozycji. Po cóż więc mnożyć cyfry urojone i stwarzać zawrotne miliony. Nie o cyfry przecież tu chodzi. Nie posądzam Kałużyńskiego ani na chwilę o „dętografię", lecz przypisuję to jedynie brakowi danych i posługiwaniu się pamięcią.

W dalszej części artykułu omawia Kałużyński przemiany, jakich dokonał w teatrze ludowym Jędrzej Cierniak, który skończył z teatrem typu Anczyca *dla ludu*, a stworzył *teatr ludowy* oparty przede wszystkim na obrzędowości. Jako przykład podaje Kałużyński „Franusiową Dolę", widowisko wg niego „płaczliwe i wzruszające". Powrót do teatru cierniakowskiego w dzisiejszej rzeczywistości oznaczałby rzekomo cofnięcie się wstecz. Jako przeciwstawienie podaje Kałużyński dwie próbki, które mają być wzorem nowych dróg dla teatru ludowego. Jedna przedstawia, jak partyzanci nadziali siedzenie Hitlera i Franka na szpikulec i uwolnili Polskę skutą w kajdany. Drugi przykład Reja „Rozmowa między panem, wójtem a plebanem"; dalej inscenizacja Żeńców Szymanowicza i obrona chłopa przez Frycza Modrzewskiego.

Artykuł Kałużyńskiego stał się podstawą do dyskusji. I tak w n-rze 20 „Wsi" ukazuje Wierciochowa nowe drogi teatrowi ludowemu, który winien się odrodzić na *terenie świetlic młodzieży*. Cierniakowy teatr obrzędowy uważa autorka za dorobek artystyczny ludu i dokument różnych etapów historii chłopa — z pewną perspektywą historyczną. Zwraca też słusznie uwagę na potrzebę stworzenia teatru rozrywkowego.

Zabrała też głos w dyskusji Zofia Solarzowa, która poza trafnymi uwagami przytoczyła kilkanaście pozycji najpoważniejszych pisarzy polskich z Orzeszkową, Żeromskim, Orkanem i Wiktorem na czele, których utwory nawet niesceniczne, grywa się „od dawna" na scenie teatru ludowego. Są to, według słów autorki, niezbite dowody, że teatr chłopski w Polsce nie zasklepiał się w obrzędowości, lecz był i jest żywy, społeczny i bogaty.

Do czego może doprowadzić świadoma „dętologia", wykazuje artykuł Tadeusza Zochowskiego: „Uwagi nad teatrem ludowym", zamieszczony w tygodniku Walka Młodych nr 5. Autor powołuje się na „dane statystyczne" zaczerpnięte z artykułu Kałużyńskiego we „Wsi" i oblicza już, że 100 tysięcy zespołów w roku 1937 obsługiwało 20 milionów (!) widzów. Obawiać się należy, że jeśli dyskusja potrwa dłużej to dojdziemy niebawem do cyfr astronomicznych, których przeciętny teatralnik nawet odczytać nie będzie umiał. Autor artykułu nie sili się nawet zdobyć na jasne i wyraźne ujęcie swego poglądu. W jednym bowiem tylko zdaniu pisze, że „teatr opierający się na *skostniałej* obrzędowości zawzięcie kultywował *zasłużony* działacz teatrów ludowych Cierniak". Trzeba się więc zgodzić: „*skostniała*" czy „*zasłużony*"? A dalej pisze: „Szeroki świat — zagadnienia ogólnoludzkie i ogólnonarodowe kończyły się tam, gdzie kończyła się wieś — u Panajezusowej figury na rozstaju dróg".

I to ma być teatr ludowy Cierniaka?

Myli się Kałużyński i myli się Zochowski, Król oraz ci wszyscy, którzy tak ciasny krąg widzenia i odczuwania teatru ludowego przypisują Cierniakowi. Jeśli nie umieli

czy nie chcieli wysnuć wniosków z jego artykułów i prac drukowanych przez przeszło ćwierćwiecze w miesięczniku „*Teatr Ludowy*“ i innych pismach, to niech się zaznajomią przynajmniej z jego referatem wygłoszonym na konferencji literatów, których pragnął wielokrotnie wciągnąć do współpracy i zainteresować zagadnieniami teatru ludowego. Referat ten pt. „O treść teatru chłopskiego“ był drukowany w miesięczniku Teatrze Ludowym z roku 1937 oraz obecnie w Dzienniku Ludowym nr 109 z r. 1945 w dodatku „Kultura Mas“.

W referacie tym przedstawił Cierniak dotychczasowy stosunek pisarzy dramatycznych, zasilających tę instytucję dobroczynną papką oświatową i uważających lud za niemowlę, które nie ma rozwiniętych zębów, by mu można dać coś twardego do zgryzienia. Brak zatem odpowiedniego repertuaru zmusza teatr ludowy do inscenizowania powieści o nowej tematyce, jak: „Kordian i cham“ Kruczkowskiego, „W Roztokach“ Orkana. Grywają też zespoły — opracowane jako ludowe, misterium zaduszne „Dziady“ Mickiewicza (część II). Sułkowskiego (akt I) i wybrane sceny „Wesela“ Wyspiańskiego. Sprawę *nowych* treści stawia Cierpiak wyraźnie: „Wieś się budzi do nowego życia, pręży się, z uporem idzie ku nowej historii, i właśnie chciałaby się zobaczyć na scenie w tej nowej, tworzącej swoje chłopskie i ogólnonarodowe jutro, postawie. Chciałaby zobaczyć to, co już wyrażać zaczyna w wierszu, w pismach młodzieży, w dyskusjach i zjazdach. masowych „dumaniach“ w uniwersytetach ludowych, na zebraniach kół młodzieży wiejskiej, spółdzielni, kół Stronnictwa Ludowego. I dla takiej dynamicznej treści trzeba odpowiedniego słowa, zwartej budowy literackiej. Bo nie jest prawdą, że chłop — nawet analfabeta — nie myśli głębiej nad sensem swego życia... Lud jest grupą społeczną młodą, jeszcze niewyżytą, znajdującą się dopiero przy poranku swego żywobycia, stąd może tu być mowa o młodości, entuzjazmie i walce... Pisarz dramatyczny, chcący pisać dla teatru ludowego musi wieś poznać gruntownie, wziąć jej życie że wszystkimi kłopotami i radościami w siebie, musi poczuć się wsi bliskim, bratem... Domaga się tego współczesne życie wsi“.

Ale nie tylko próbował, choć bezskutecznie, wciągać pisarzy. Próbował jeszcze, i tu mu się udało, zainteresować jednego z najwybitniejszych reżyserów i inscenizatorów teatru polskiego, Leona Schillera, który z Cierniakiem współpracował i przysporzył teatrowi ludowemu najpiękniejsze swoje reżyserskie opracowanie: „Pastorałkę“, i przygotował materiały do innych prac. Może uda się z tego miejsca skłonić dyrektora Schillera, aby wypowiedział swoje uwagi o planach repertuarowych które wespół z Cierniakiem nieraz omawiał. Są to bowiem momenty, które winny przejść do historii ruchu teatrów ludowych.

Jest jedna rzecz zastanawiająca w tej całej sprawie. Gdzie byli wówczas ci wszyscy apostołowie teatru ludowego, którzy dzisiaj próbują osłabić i zlekceważyć wartość naprawdę syzyfowych prac Cierniaka, gdy ich zwoływał i szukał po całej Polsce, gdy apelował w prasie, na licznych zjazdach i konferencjach? Dlaczego nikt mu nie pomógł w jego uporczywym borykaniu się choćby z wydawnictwem miesięcznika Teatr Ludowy, który przez tyle lat opłacał często ze swej skromnej pensji urzędniczej lub wekslami. Jakże nieliczna była wówczas grupka ludzi, która przynajmniej moralnie podtrzymywała Cierniaka w jego trudzie i walce. Jednak mimo trudności wyrąbał i utorował Cierniak drogę teatrowi ludowemu i przeszedł z nim pierwszy etap tej drogi. A wiemy, (choć ze Staffa), że „droga na szczyty nigdy się nie kończy“. Padł z ręki okupanta, a trud jego podejmą inni, którzy go rozumieli, czuli i kochali.

Przypatrzmy się teraz nowej rzeczywistości. Przynajmniej trzy Ministerstwa zgłosiły swoje pretensje do teatru ludowego, i każde na własną rękę zaczyna robotę od nowa. Znaleźli się w terenie urzędowi instruktorzy, którzy nawet z rewią weszli na wieś. Gdybyż to była rewia oparta na twórczości ludowej — zgoda. Ale to repertuar typu Własta. — W Krakowie pod samym bokiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, pod czujnym okiem Propagandy gra teatr „sztukę“ niemieckiego autora Raupacha: „Młynarz i jego córka“, rzecz, której wstydziłby się dziś wystawić podrzędny teatr niemiecki. Naturalnie, że nazwisko autora na afiszu nie figuruje, gdyż zostało ono zastąpione nazwiskiem polskiego „Inscenizatora“.

Instytut Artystyczny w Kazimierzu nad Wisłą okazał się placówką nieżyciową — brak mu słuchaczy. Biadał nad tym zjawiskiem kierownik Instytutu Tadeusz Byrski w artykule „Syzyfowe prace“ w Nrze 3 „Wsi“. Mimo wysiłku dyr. Byrskiego ostateczny rezultat: Min. Kultury i Sztuki zlikwidowało Instytut i wstrzymało subsydia. Doświadczenia te zebrał teatr ludowy jeszcze u progu swej działalności, tj. po wskrzeszeniu niepodległości, kiedy również na początku powołano kilkuletnią szkołę dramatyczną dla pracowników teatru ludowego. Szkoła ta była największym błędem, jaki na przestrzeni 25 lat organizatorzy ruchu teatrów ludowych popełnili. Jedynym jej pożytkiem (dosłownie) i równocześnie chlubą jest dyrektor — Eugeniusz Poreda. Nikt bowiem ze słuchaczy w pracy teatrów ludowych nie wziął więcej udziału. Może ten przykład odpowie kierownikowi Instytutu Artystycznego, Byrskiemu, i każe zrewidować uchwałę Zjazdu Pedagogów Teatralnych w Łodzi, którzy również zalecają dwuletnią szkołę dla pracowników teatru ludowego. Może ta uwaga zorientuje również Dyrekcję Liceum Teatralnego w Grodzisku, po jakiej drodze kroczyć należy, aby uniknąć starych błędów.

Pozostaje jeszcze do omówienia rzecz, która stanowi o dalszych losach teatru ludowego. Sprawą tą jest repertuar. Nie pomogą kadry najlepiej przygotowanych instruktorów teatralnych, ani najlepsze intencje Ministerstw i instytucji organizujących pracę teatrów ludowych, jeśli nie potrafimy zaspokoić głodu repertuarowego. Nie pomogą tu nawet konkursy z najwyższymi nagrodami, które by zwabiły poważnych pisarzy i zainteresowały ich problemami teatru ludowego. Tu musi się znaleźć pisarz o dużym talencie, a równocześnie taki fanatyk teatru ludowego, jakim był Cierniak.

Brak odpowiedniego repertuaru był już w przedwojennych czasach największą bolączką. Na teatrze ludowym żerowało wielu pasorzytów - wydawców, którzy wykorzystali tę paradoksalną sytuację, tj. szeroko rozbudzony ruch teatrów ludowych przy równoczesnym braku odpowiedniego repertuaru, i poczęli na gwałt fabrykować „sztuczki teatralne“. Były wydawnictwa, które osiągnęły cyfrę około 300 pozycji wydanych „sztuczek“ i zrobiły na tym doskonały interes. I dziś sytuacja nie zmieniła się. Jak feniks z popiołów odrodziło się w Katowicach

lwowskie „Odrodzenie", i znowu zasila swoim „repertuarem" teatry ludowe, robotnicze i szkolne. Dawny jego repertuar kadzidłowo-sanacyjny łatwo da się przerobić. Wystarczy zmienić postać legionisty na postać partyzanta, i... będzie nowe opracowanie. Nie lepiej przedstawia się „Biblioteka Teatralna", wydawnictwa Kuthana pod redakcją *Wł. Lecha*. Wystarczy przeczytać „programowy" wstęp do broszury *J. Stawowskiego:* „Teatr w świetlicy", gdzie redakcja wyraźnie powiada, że każdy kto ma ochotę, może grać, może reżyserować, malować dekoracje itd. Że sama ochota tu nie wystarcza, widać to wyraźnie z treści wspomnianej broszury...

Może ten artykuł zainteresuje jakiegoś pisarza repertuarem teatrów ludowych, pisarza, o którym mówi Jan Wiktor w swoich „Ożywczych Krynicach", że: „musi wziąć udział w pierwszym szeregu i być jako iskra rzucona w ładunek dynamitowy, wysadzająca góry skalne". Na takiego pisarza czeka od lat teatr ludowy, takiego poszukiwał Jędrzej Cierniak pisząc: „Jeżeli nas będzie stać na danie tak w treści jak i w formie wyrazu dążeń naszej epoki w jakimś sharmonizowanym kształcie wykończonego piękna, to możemy się spodziewać w tym teatrze nowego, narodowego, polskiego „stylu". Warto jednak żyć i budować choćby w nadziei tak wiele obiecującego i promieniującego jutra kultury polskiej".

Stanisław Iłowski.

Ziarna

Władza to jeszcze dziś przymus na ludzi. Przymus człowiek przyjmuje niechętnie, często się buntuje przeciw niemu. Mądre rządzenie tkwi w umiejętności stosowania woli społecznej obywateli. I nasza chłopska władza wtedy mieć będzie siłę i wpływ na życie, kiedy poparta będzie powszechnym chceniem naszym, rozumieniem większości.

Mało więc tego, żeby władza sama wiedziała, czego chcieć, i to bez nas. Musimy my sami najpierw wszyscy wiedzieć, czego bardzo chcieć, aby władza o nas oparta przekształcała życie. Sejm, rząd, urząd często czekają na inicjatywę obywateli, a zawsze czekają na ich poparcie. Musimy więc my sami dojrzewać, tak żebyśmy uchwałami sami zalecać mogli prezesowi spółdzielni, wójtowi gminy, przewodniczącemu wydziału powiatowego, co czynić mają, a nie czekać tylko na ich inicjatywę. Musimy my wszyscy być instruktorami posłów na ich sprawozdawczych wiecach. My musimy wnosić incjatywę i wolę w sejm, w rząd, we władzę, bo my jako powszechność jesteśmy istotą i celem państwa. Takimi czynnymi i twórczymi w państwie uczynić chce chłopów uniwersytet wiejski.

Jeśli do władania wydelegujemy człeka nie głupiego wcale, ale jednak duchem słabego, czy wtedy ta władza nie obróci się przeciw nam Niejednemu władza uderza do głowy, że zamiast sam ludziom służyć za pastuchów mieć by ich rad. Idei społecznej za drabinę do osobistej użyje kariery. Za chleb przy władzy sprzedaje niejeden sumienie i wiarę społeczną Wygoda władania często zabija uczciwość, podetnie dzielność, przecina łączność z szarymi braćmi. Cóż z idei w świętalne ubranej słowa, gdy dzień powszedni rządzenia kłam jej zadaje?

Choćby z nazwy była chłopską, jakiż pożytek z władzy takiej? Tylko hańba. A władza Ludowej Polski to chyba rzetelność, ideowa niezłomność, w uczciwości zatwardziałość, do śmierci słowność i wierność, a obyczaj demokratyczny jako chleb powszedni. Ludzi z takimi darami na gościńcu nie znajdujemy na zawołanie. Ale łatwiej o nich będzie, gdy dużo nas ćwiczyć się już zacznie w praktykowaniu na codzień tej złotej sztuki. Wielką troskę o to wnoszą do dusz młodych chłopów uniwersytety wiejskie.

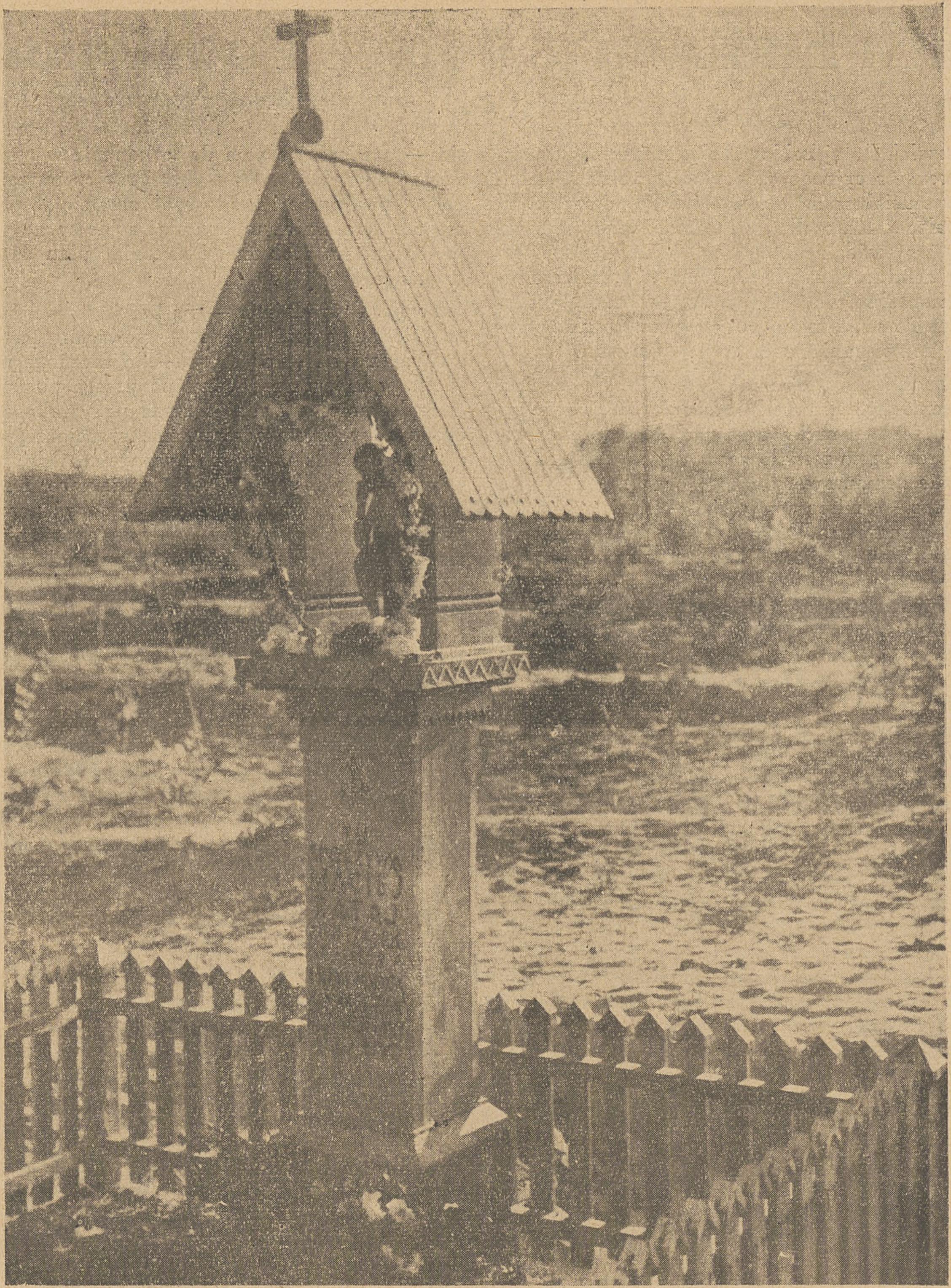
Uniwersytet chłopski chce dać chłopom siłę największą ze wszystkich sił, płynącą z mocy chłopskiego ducha.

Są dziś usiłowania, by moc chłopską zaprząc do wrogich nam idei. Dlatego przysporzenie każdego nowego uniwersytetu wiejskiego przez chłopów jest przyśpieszeniem pochodu ku wyzwolonej społecznie nowej Polsce.

Jeżeli chłopi łowiccy stworzą i utrzymają na trwałe zapoczątkowane dzieło wiejskiego uniwersytetu w swej ziemi, to dla wielkiej sprawy nowej Polski będą mogli zużytkować swą przyrodzoną ambicję, zawziętość, twardość i honorność.

IGNACY SOLARZ —

(z artykułu pt. „*Po co nam nowy uniwersytet chłopski*" w jednodniówce pn. „*Chłopskim Trudem*", poświęconej sprawie Uniwersytetu Ludowego Ziemi Łowickiej).



U twych prochów, u mogiły,
Będą wieki szukać siły,
I naznaczą twoje kości
Wielką drogę ku przyszłości
Śladem krwi!

M. KONOPNICKA

JÓZEF NIEĆKO

Ruch Ludowy w Polsce Podziemnej

(ciąg dalszy).

Marszałek Rataj hołdował słusznej zasadzie działania konspiracyjnego, zalecając ograniczanie kontaktów z działaczami terenowymi do minimum. W myśl zaleceń Marszałka, na terenie tylko kierownictwa wojewódzkie mogły wiedzieć, kto stoi na czele Ruchu Ludowego — i tylko te kierownictwa mogły kontaktować się z Centralą — poza tym nikt więcej. To samo miało dotyczyć kierownictw wojewódzkich w odniesieniu do powiatowych.

Słuszność tej zasady miała jednak swoje granice. Mogła ona chronić przed dekonspiracją ludzi w życiu politycznym mniej znanych przed wojną. Mogła być dobrą w zespole zamkniętym, nielicznym, starannie zamaskowanym. Ale organizacja Ruchu Ludowego — mimo wszystko — musiała być organizacją masową. Wprawdzie była mowa o trójkach, trójkach i tylko trójkach, a co najwyżej piątkach — dobieranych starannie do kierownictw wojewódzkich, powiatowych, gminnych i gromadzkich. Ale trzeba zważyć, że trójki gromadzkie miały iść w tysiące. A przecież ruchu masowego nie da się ukryć — zresztą nie po to powołuje się organizację, by tylko w ukryciu trwała, ale głównie po to, by z ukrycai działała. Rzecz jasna, że działania te okupant odrazu zauważy, czy też odczuje na własnej skórze, i natychmiast zechce chwytać nitki, by dojść do kłębka, celem sparaliżowania źródła działań konspiracyjnych. Gdzie zaś kryje się źródło — nietrudno było dociec. Niemcy doskonale orientowali się w przedwojennym układzie sił społeczno politycznych i w ludziach stojących na czele różnorakich poważniejszych ugrupowań. A więc: jeśli na wsi coś w szerszych rozmiarach się dzieje — to wniosek z tego jasny: działaniami tymi nie może kierować Wincenty Witos — gdyż siedzi w więzieniu i nie ma możliwości kontaktowania się z działaczami politycznymi. Pozostaje tedy Maciej Rataj!

Zwracaliśmy tedy Marszałkowi uwagę, że z chwilą uaktywnienia Stronnictwa, nawet do minimum ograniczone kontakty z działaczami politycznymi nie ochronią Marszałka, jeśli będzie pozostawał we własnym mieszkaniu. A przeto co rychlej należy zerwać wszelkie stosunki z dotychczasowym mieszkaniem, wyzbyć się własnego nazwiska — zaś konferencje z najbliższymi współpracownikami wyznaczać coraz to w innym lokalu, nigdy zaś w lokalu, w którym się zamieszkuje.

Marszałek nie tylko godził się z takim stawianiem sprawy, ale nawet rozwijał i uzupełniał zasady działań konspiracyjnych. Przy czym nakreślał w sposób drobiazgowy plan techniki życia konspiracyjnego. Momentami mogło się wydawać, że Marszałek jest urodzonym konspiratorem. Zwłaszcza wtedy, gdy oświadczył, że opuszcza Warszawę, by po perypetiach więziennych nieco odprężyć się — powierzając nam do wykonania w tym czasie szereg zadań wstępnych. Przy czym poinformował nas, gdzie i kiedy spotkamy się w pełnym zespole kierowniczym, by zdać sobie sprawę z tego, co zostało zrobione, i nakreślić plan dalszego działania.

Po paru tygodniach — na krótko przed świętami Wielkanocnymi 1940 r. — powrócił Marszałek do Warszawy i — niestety — do własnego mieszkania, w którym rozpoczął po prostu nieustające „urzędowanie". Bodajże zaraz po przekroczeniu progu odbył wielogodzinną konferencję z jednym z wybitnych działaczy politycznych. Odrazu też wyznaczył dwa posiedzenia Centralnego Kierownictwa. W jednym dniu miało się odbyć posiedzenie poświęcone sprawom wyłącznie organizacyjnym, a w dniu następnym sprawom politycznym. Obydwa te zebrania wyznaczył Marszałek we własnym mieszkaniu. Dodajmy do tego jeszcze i to, że Marszałek miał zwyczaj przeprowadzania przed zebraniami indywidualnych rozmów. Rozmowy te powyznaczał również w swoim mieszkaniu.

Ale nie koniec na tym. Gdy się rozeszła wieść, że Marszałek powrócił, natychmiast zaczęło się zabieganie o widzenie się z Marszałkiem całego szeregu różnych działaczy z różnorakich ugrupowań. Przy czym natarczywość była aż nazbyt wielka. Gdy na Książęcej odmówiono skontaktowania z Marszałkiem — taki pan nie zrażał się tym, lecz wprost walił na Hożą 14 i zabiegał u córki Marszałka o wyznaczenie rozmowy.

*

Na krótko przed świętami wielkanocnymi odbyły się zapowiedziane dwa posiedzenia Centralnego Kierownictwa. Były to dwa pierwsze i ostatnie posiedzenia pod przewodnictwem Marszałka Rataja.

Nie ze względu na wagę spraw, ale wyłącznie ze względu na to, że były to posiedzenia wstępne, przy czym wespół z Marszałkiem odbyte — postaram się odtworzyć przebieg tych posiedzeń w sposób protokularny. Czynię to na podstawie zachowanej notatki.

Na pierwszym posiedzeniu, poświęconym sprawom organizacyjnym, uczestniczyli: Marszałek Rataj, Stanisław Osiecki, Józef Grudziński i Józef Niećko.

Marszałek Rataj, zagajając zebranie, oświadczył:

— We czterech stanowić będziemy Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego, któremu będę przewodniczył. Nie mam zamiaru uprawiania dyktanda — przeciwnie: we wszelkich sprawach jakie staną przed nami na porządku dziennym, bę-

dziemy wspólnie radzić i decydować. Dotyczy to spraw wewnętrznych Ruchu, zwłaszcza spraw organizacyjno-programowych. Nieco inny porządek rzeczy ustalam w odniesieniu do spraw politycznych o charakterze ogólnokrajowym. W tych sprawach będę się w zespole kierowniczym naradzał, jednakże ostateczną decyzję będę podejmował na własną odpowiedzialność.

Następnie przystąpiono do spraw organizacyjnych — bieżących:

Niećko informuje, że *w Lublinie* jest już ukształtowane Kierownictwo Wojewódzkie w następującym zespole: *Stanisław Wójcik, Jan Domański i Jan Chmielewski*. Kierownictwo ustala i mianuje już kierownictwa powiatowe. W niektórych powiatach Lubelszczyzny montaż sieci organizacyjnej dosięga gromad wiejskich.

Gorzej zaś przedstawia się *sprawa w woj. Kieleckim.* Spośród miejscowych działaczy na razie trudno zmontować kierownictwo. Proponuje więc na mianowanie w charakterze komisarza — *Franciszka Kamińskiego*. którego zadaniem będzie:

a) rozpoczęcie prac wstępnych w odniesieniu do powiatów i b) zorientowanie się w działaczach miejscowych, spośród których można by zamianować Kierownictwo Wojewódzkie. Propozycję tę przyjęto do wiadomości.

Istnieją również trudności w odniesieniu do *Łódzkiego.* W tej chwili tak się rzeczy mają, że działania organizacyjne można oprzeć na miejscowym działaczu wiciowym — *Wojciechu Janczaku*, który w ostatnich dniach zgłosił się do dyspozycji. Postanowiono tedy powierzyć Janczakowi zmontowanie Kierownictwa Wojewódzkiego.

W odniesieniu do Warszawskiego — Marszałek zakomunikował, że po uprzednim porozumieniu się z Niećką, przeprowadził rozmowę ze *Stanisławem Miłkowskim* i powierzył Miłkowskiemu zorganizowanie i poprowadzenie zaprojektowanej przez Niećkę Komisji Programowej — poza tym przewodnictwo w kierownictwie na woj. warszawskie. Miłkowski po wytypowaniu ludzi do kierownictwa — przedstawi pełny zespół do zatwierdzenia Kierownictwu Centralnemu.

Wreszcie przyjęto do wiadomości skład osobowy zespołu kierowniczego na *woj. krakowskie*, który już uprzednio samorzutnie się ukonstytuował i rozpoczął działalność organizacyjną i programowo-polityczną. Zespół ten stanowią: *Dr Wł. Kiernik, Stanisław Mierzwa, Jan Witaszek i Józef Marcinkowski.*

Następnie Marszałek informuje, że urzędujący w konspiracji wiceprezes „Wici" — Stanisław Miłkowski — zawiadomił Marszałka oficjalnie, iż na odbytej konferencji przedstawicieli wojewódzkich związków wiciowych postanowiono na czas okupacji zlikwidować odrębny ośrodek wiciowy na rzecz wspólnej organizacji Ruchu Ludowego.

Wreszcie Niećko zakomunikował, że odbył szereg rozmów z przedstawicielami „Siewu" — działającego w konspiracji pod mianem „Racławice", i Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej, występującego łącznie z „Siewem". Rozmowy przeprowadził z *Romualdem Tyczyńskim, Kazimierzem Majem i Kazimierzem Banachem.* Rozmowy odbywały się indywidualnie i zbiorowo. W rezultacie przedstawiciele „Siewu" i Wołyńskiego Związku Młodzieży zgodzili się na następujące załatwienie sprawy:

— „Racławice" poprzez swe kierownictwo zgłaszają swoje podporządkowanie się Centralnemu Kierownictwu Ruchu Ludowego. Konsekwencją tego będzie: a) wystąpienie „Racławic" z Centralnego Komitetu Organizacji Niepodległościowych, b) sprawy organizacji wojska w konspiracji podporządkują Centralnemu Kierownictwu Ruchu Ludowego, c) przy kształtowaniu się Kierownictw Ruchu Ludowego na szczeblach wojewódzkich, powiatowych, gminnych i gromadzkich — przedstawią swych kandydatów celem ewentualnego ich włączenia do ścisłej sieci organizacyjnej, d) z tą chwilą „Racławice" zlikwidują odrębną akcję wydawniczą.

Powyższe Centralne Kierownictwo przyjęło do zatwierdzającej wiadomości.

Na zakończenie tego posiedzenia Marszałek zadysponował: Niećko z Grudzińskim zajmą się przede wszystkim sprawami organizacyjnymi przy współudziale Szczawińskiej, która najbardziej nadaje się do odegrania roli czynnika łączności. Przy czym Grudziński ze Szczawińską zatroszczą się sprawą zorganizowania i poprowadzenia księgarni na Książęcej. Osiecki zajmie się przede wszystkim sprawami finansowymi.

W stosunku do samego siebie Marszałek oświadczył:

— Ja osobiście zajmę się w głównej mierze sprawami politycznymi Ruchu na terenie P. K. P. Poza tym będę miał pieczę nad Komisją Programową. To wszystko należy rozumieć w ten sposób, że Kierownictwo jest jednak kolegialne i wszyscy z przydzielonych sobie zadań wykonanych będą składać sprawozdania przed kolegium, jak również przedkładać na kolegium do zatwierdzenia dalsze plany działania. Zaznaczam: posiedzenia Centralnego Kierownictwa będą niekiedy odbywać się w szerszym zespole. Jutro na przykład, przybędzie na posiedzenie kierownictwa zaproszony przeze mnie Stefan Korboński. Omawiać będziemy sprawy polityczne — a on w tej chwili zastępuje mnie na terenie P. K. P. Kiedy indziej, gdy Komisja Programowa przepracuje już jakiś dział swej pracy, zaproszę na posiedzenie kierownictwa Miłkowskiego, by nam to zreferował celem przedyskutowania i ewentualnego przyjęcia lub odesłania do poprawek.

*

Na drugi dzień odbyło się posiedzenie Centralnego Komitetu poświęcone sprawom politycznym. Z godnie z zapowiedzią — przybył i *Stefan Korboński*, który miał złożyć sprawozdanie z bieżących prac na terenie P. K. P. Przed tym jednak Marszałek wyjaśnił, że do P. K. P. wchodził personalnie jako Maciej Rataj. W charakterze reprezentanta Stronnictwa Ludowego nie mógł wchodzić, bo — nie będąc członkiem władz kierowniczych — nie czuł się do tego upoważnionym. Obecnie, skoro zdecydował się wziąć pełną odpowie-

działność za sprawy Ruchu Ludowego, uważa się za przedstawiciela Ruchu Ludowego w P. K. P. z tym, że przez pewien okres czasu zastępował go tam będzie Korboński, którego będzie osobiście instruował. Poza tym oświadczył:

— Jeśli tylko znajdzie się w P. K. P. na porządku dziennym jakaś sprawa zasadniczej wagi, będę was kolegialnie zwoływał na naradę przed powzięciem decyzji imieniem Ruchu Ludowego.

Po czym Korboński złożył sprawozdanie, z którego wynikało, że Z.W.Z. został uznany przez Rząd gen. Sikorskiego za jedyną organizację wojskową w konspiracji — której winny podporządkować się wszystkie inne organizacje o charakterze wojskowym. Poza tym, że z informacji podanych na terenie P. K. P. przez czynniki Z. W. Z. wynika, że sprawa Biura Politycznego ustanowionego w kraju przez Rząd gen. Sikorskiego — i teraz jeszcze nie została wyjaśnioną. Informacje prof. Kota mówią tylko o tym, że Biuro Polityczne zostało zainicjowane przez Rząd jako placówka informacyjna. Zaś inicjatywa utworzenia Centralnego Komitetu Organizacji Niepodległościowych nie wyszła od Rządu. Podjął tę inicjatywę na własną rękę kierownik tego Biura — Ryszad Świętochowski. Poza tym prof. Kot zapowiada, że w najbliższym czasie należy spodziewać się inicjatywy Rządu w stosunku do P. K. P. Ma to być podstawa do wszechstronnego współdziałania P. K. P. z Rządem gen. Sikorskiego.

Na tym zakończone zostało sprawozdanie Korbońskiego. Po czym Marszałek zapowiedział, że w okresie poświątecznym zwoła następne posiedzenie poświęcone sprawom politycznym, na którym zreferuje własną ocenę sytuacji i wytyczną linię postępowania.

*

Zaraz po odbyciu tych zebrań największą troską nas wszystkich była sprawa wywarcia wpływu na Marszałka, by czym rychlej opuścił własne mieszkanie i starannie się zakonspirował. Czyniliśmy nie tylko bezpośrednie zabiegi w tym kierunku — ale nawet uciekaliśmy się do pośrednictwa osobistych przyjaciół Marszałka, a w pierwszym rzędzie do Jego Córki, śp. Hanny Stankiewiczowej.

Marszałek przyobiecał solennie, że zaraz po świętach wyjedzie i będzie kontaktował się z nami za pośrednictwem Stefana Korbońskiego.

Niestety! Zaraz po świętach przybyło na świtaniu gestapo i zabrało Marszałka z mieszkania, do którego już nigdy nie powrócił.

(d.c.n.)

Bitwa o Pastę

Bitwa o Pastę trwała od pierwszego dnia powstania. Składało się na nią kilka ataków, które pochłonęły dużo wysiłków i ofiar, i nie doprowadziły do zajęcia gmachu.

Liczna obsada (załoga liczyła 116 ludzi i ck-my, rk-y i około 50 pm-ów, było też działkoplot i stokesy), wykorzystując masywną budowę gmachu oraz jego górowanie nad znaczną częścią miasta, trzymała w ogniu setki domów, wiele ulic i placów. Pasta pozostawała jakby wysuniętą redutą niemieckich stanowisk w Ogrodzie Saskim. Stamtąd przychodziły posiłki dostarczane czołgami.

Za barykadami narastała stale chęć walki. Wszystkie oddziały AK, walczące w śródmieściu, żyły myślą o szturmie.

Przyszły decyzje. Pięć dni trwały wstępne posunięcia: ścieśniano placówki wokół Pasty. Nie dopuszczano posiłków, odcięto dopływ wody i elektryczności, wreszcie 19.VIII przerwano łączność telefoniczną. Tego dnia przed północą zaroiły się szlaki, wiodące przekopami, piwnicami do ul. Zielnej, do Pasty.

Po domach i podwórzach od strony Bagna czaiły się ciemne postacie. Czekały oddziały szturmowe piechoty. Byli ludzie z oddziałów specjalnych z M. O. — z zapasami butelek samozapalających, zbiornikami nafty. Oprócz dużej ilości materiału ludzkiego zmobilizowano do współdziałania wszelkie środki pomocnicze.

Specjalne zadanie w tej akcji miały wykonać patrole minerskie. Przybyły na miejsce tuż po północy, obładowane deskami, łatami i jeszcze jakimiś tam ciężarami. Dziwili się cywile po piwnicach na szlaku: „Co też oni niosą — z deskami na Niemców idą! — Jeden z takich patroli miał urzędować w kamienicy, przylegającej do Pasty od strony Ogrodu Saskiego.

Przekradaliśmy się ostrożnie na 3 piętro tego domu. Niemcy spali widać spokojnie. Poprzedniej nocy pobliskie nasze placówki przeprowadziły lekką zaczepną akcję i tej nocy załoga cieszyła się odpoczynkiem. Północ witała nas ciszą.

Urzędowanie zaczął d-ca, szepcząc długie przemówienie do lokatorów mieszkań, w których mieliśmy pracować.

Gospodyni nie wiedziała, czy pozostawić porcelanę, czy przenieść ją do dalszych pokoi. Po naradzie zostawiła ją w przyległym mieszkaniu.

Kiedy po różnych cywilnych kłopotach zostaliśmy sami — był jeszcze kłopot z „piechurami", którzy mieli torować drogę do ataku. Godzina rozpoczęcia akcji była wyznaczona po północy, zachęcaliśmy ich do spania. Łóżka jakoś nie odpowiadały, ułożyli się więc rządkiem na podłodze. My ruszyliśmy do pracy. Kapitan wymierzył ścianę, wyznaczył miejsce na minę. Kombinowaliśmy przy tym, jak duża uda się dziura i czy porcelana gospodyni ocaleje. Ciekawi też byliśmy, czy Niemcy mocno śpią za ścianą i jakie będą meli wrażenie, jak ściany braknie. Przystawialiśmy nawet uszy do muru, aby sprawdzić, czy się może ruszają.

Na wysokości 2,5 m. został obsadzony na krzyżaku z desek ładunek (22 kg plasticu). Wyglądał całkiem niewinnie — z bryły sześcianowatej dyndały wesoło lonty, jedynie detonatory łypały złowrogo ciemnymi oczami.

Po dokładnym zmontowaniu całego ładunku — przewodów ogniowych — usadowiliśmy się wszyscy na wygodnej kanapie. Tykał cicho zegar na przeciwległej ścianie. Prowadziliśmy cichą pogwarkę, sprawdzając jednocześnie nasze pistolety. Na pół godziny przed rozpoczęciem akcji wpadł do nas kpt. Kmita. Kpt. miał iść ze swoimi oddziałami szturmowymi i miał być d-cą na naszym odcinku.

(Z drugiej strony budynku wyczekiwały podobne — siostrzane oddziały piechoty i nasz bratni patrol saperski).

Kapitan oglądnął nas i pyta o minę — nasz d-ca pokazuje. Po czym Kmita robi trochę niewyraźną minę i skrobiąc się w głowę, pyta:

— Kolego, to takie małe, czy aby wywali dobrą dziurę?

Kpt. Jotes śmieje się cicho i uspokaja, że „dziurka będzie wystarczająca".

O godzinie 2,20 zbroimy minę — ta uzbrojona nie traci nic na niewinnym wyglądzie — lonty tylko groźniejsze — te, co tkwią w detonatorach.

Godz. 2,25 — kpt. Jotes daje rozkaz: „Biegiem do piwnicy i czekać!". — Zostaje sam z paczką zapałek szturmowych w ręku.

Szybko jesteśmy na dole — oddział szturmowy czeka już w pogotowiu. W piwnicy jest trochę ciężka atmosfera — cywile przestraszeni czują, że to coś niezwykłego będzie.

Zaczynamy odmierzać minuty, sekundy... „Czy aby odpali?" — „Żeby to już, żeby kapitan był z nami".

I wreszcie huk — ciemno — wrażenie, że trzy piętra wylądowały na głowie. Dusi pył — w krzyki kobiet i dzieci wdzierają się głosy zwołujące żołnierzy. Szukamy swego kapitana. Jest. Zbiera nas i pędzimy w górę. Klatka schodowa ocalała. Dudnią schody. Przed nami wyrwał już kapitan Kmita ze swoimi chłopcami. Na wysokości drugiego piętra widać niebo, na wprost pali się od naszej miny i jest zwalisko cegieł (gdzie porcelana), z lewej widać ogromną wyrwę w potężnym murze. Ze zwaliska gruzów przerzucili już pierwsi biegnący deskę w górę do dziury. Trzeba skakać! Płomienie liżą, huczy ogień, serce bije jak młotem. Biegnę trzecia z kobiet, a czwarta za kpt. Jotesem. W momencie, kiedy mam skakać na deskę, biegnąca przede mną Hanka traci równowagę i robi zwrot do tyłu, za nią Iza. Nie pytam — co. Skaczę do przodu — deska hybocze się. Jestem w otworze. Tu Niemcy zdołali już opanować się i już piorą pociskami z kaemów. Jest widno, jak w dzień — ogień szaleje. Jestem za otworem, przykucnęłam za kupą gruzów, tuż przede mną kapitan Jotes przyklejony za szafą ogniotrwałą. Widzę dalej chłopców-placki na gruzach. Czarne otwory w następnych pokojach zieją ogniem.

Za moimi plecami po zwale gruzów piorą pociski raz koło razu. Przylegam całym ciałem do cegieł zwalonych — ciało okazuje się bardzo kurczliwe — maleję cała. To są wszystko sekundy. Tylko zdążam oglądnąć się w tył i widzę Izę przez moment, — jak po skoczeniu do dziury pada i następnie z okrwawionym podudziem, wywracając „kozła", spada w dół z powrotem. Hanka wychyliwszy się za nią, chwilę wyczekuje i wreszcie też zginęła. Słychać krzyki — „Sanitariuszki!". I znów na moment ukazuje się w otworze postać męska z Bergmenn'em wysuniętym do przodu i, „koziołkując", znika w dole, pozostawiając na gruzie Bergmann'a.

Przypadam jeszcze bardziej do gruzów, wyciągam tylko bokiem ręce i ciągnę tego p-ma *). Jest. Podsuwam go obok leżącemu koledze.

W tym momencie słychać głos kpt. Kmity: „Chłopcy, który tam z granatem, trzasnąć w ten najbardziej plujący otwór". I wtedy spokojnie odrywa się od ziemi postać, w lekkim przysiadzie robi krok do przodu — następują klasyczne ruchy — widać, że ruchy te często były powtarzane. Następnie wybuch — i cisza, krzyk wreszcie.

Do nas rozkaz: „Dalej! W prawo za ściany skakać!". To znów sekundy i jesteśmy za osłoną ściany, na korytarzu. Chłopcy zajmują stanowiska, otwierają ogień. Następuje odprężenie. Teraz dopiero zdajemy sobie sprawę, że jest nas 17 osób i że następni, którzy mieli biec za nami, już się nie dostali, a bratnich grup, które miały wdzierać się od drugiej strony, ani widać, ani słychać.

Kpt. Kmita i kpt. Jotes pobiegli do przodu korytarza. Chłopcy pilnują otworów. Strzelają na ślepo. My cały czas jesteśmy na tle ognia bardzo widoczni, podczas gdy Niemcy siedzą w ciemnych otworach. W dodatku jeszcze nasz rkm jakoś nie działa po tych skokach.

Niemcy znów jakoś ożyli, boimy się, aby nie wpadli na pomysł podrzucenia kilku granatów. To by nam na zdrowie nie wyszło. Cienka ściana i ten pierwszy mały pokój tuż przy dziurze (6 — 7 m. dł.), to przecież nie osłona.

Dochodzą nas krzyki z oddali, — to nasi dowódcy nakazują Niemcom poddanie się. Na górnych piętrach szwaby odkrzykują coś chaotycznie. Słychać też pojedyncze strzały. Po kilku minutach ukazuje się gdzieś na końcu zawalonego rupieciami korytarza kpt. Jotes i woła mnie.

Rzucam się do przodu — nisko pod parapetami okiennymi. Wszystkie otwory zieją ogniem. Na klatce schodowej narada — orientuję się, że jesteśmy w nieco kłopotliwej sytuacji. Tył odcięty — pożar od miny. Do ataku na górne piętra w 17 osób nie pójdziemy, a o kontakcie z pozostałymi mowy nie ma; zaczynamy się też palić od dołu. Ogień wydobywa się z garaży

*) p-m — pistolet maszynowy.

parterowych. Pozostaje jedyne wyjście wywalić ścianę. Kpt. Jotes pyta o zapasowe ładunki plastiku. Mam całe 2 kg. i lontu kawałki 3 — 4 cm. Oficerowie szybko decydują się. Montować. Kpt. Kmita podciąga na klatkę schodową chłopców. Jest upał diabelny, gryzie dym.

Korytarzem długości 15 — 20 m. przedostajemy się do szczytowego pokoju — i tu w rogu umieszczamy minę na ścianie. Montujemy ładunek. Dym jest coraz gęstszy. Mina ułożona na jakiejś półce już przylega do ściany, a teraz targ: Kto odpali? Kapitan czy ja?

Spokojnie klaruję, że korytarz długi, a lonty krótkie, że osoba dowódcy nie może być narażona, że zwykły żołnierz zrobi to dobrze i ewentualnie jego ubytek nie wpłynie na wydarzenia dalsze. Kapitan waha się. Patrzy na mnie ostro i nagle krótko: „Wycofać się natychmiast!"

Biegnę przez korytarz w kłębach dymu, na klatce schodowej chłopcy oddychają przez chusteczki. Trudno opisać uczucia, które były w nas do momentu detonacji.

— Wyjdziemy, albo...

To wiemy wszyscy, co będzie. Ja myślę jeszcze o kapitanie. Czy zdąży przebiec w przeciągu kilku sekund korytarz. Nagle — huk i fala gorącego powietrza rzuca nas na ściany. Dusimy się. Jednocześnie chłopcy stojący u wylotu korytarza krzyczą: „Ciągnąć". Natychmiast jestem w tym miejscu.

Kapitan cały jest blady przeraźliwie, ale śmieje się. Z pomocą naszą wstaje. Jedna ręka zwisa bezwładnie. Siła wybuchu 2 kg plastiku znaczy coś. To są znów sekundy. Kmita działa błyskawicznie, już stoi nad wyrwą po minie, już pierwsi chłopcy skoczyli w dół na gruzy. Trzeba działać piorunem, — pali się z kilku stron, a przy tym jesteśmy w polu obstrzału

Nie wiemy, czy kpt. Jotes będzie mógł skoczyć — słania się. Nie ma jednak wyboru. Skacze przede mną, ja jadę po kamieniach z impetem. I dalej co tchu do przodu. Tam już naszych widać, siedzą w budynku fabryki Januszkiewicza.

Tak wydostajemy się bez jednego. Pasta pozostaje nie zdobyta. Przykucnęliśmy w bramie i patrzymy na swastykę. Kołysze się jeszcze w oknie.

Patrol mój zostaje wycofany. Natomiast inni są znów w akcji. Oblewają otwory i ściany gmachu mieszanką benzynową. Są w ruchu sikawki strażackie — miotacze ognia. Płomienie wślizgują się do wewnątrz. Zaczyna płonąć cały gmach.

Jednocześnie przez wyłomy od naszych min, granatów oraz przez forsowaną bramę rozpoczęto szturm.

„Baśka"

Wiersze z obozu Ravensbrück

H. G.

List

Piszę do Ciebie list, mój Ptaszku złoty!
Nie ten zwyczajny — w obcej , wrogiej mowie,
W której struchlałe mrą słowa miłości,
Lecz ten prawdziwy, list mojej tęsknoty,
O którym pewnie nigdy się nie dowiesz.

Serce me kona z bólu i żałości,
Kiedy pomyślę, jak zostałaś sama,
I że nikt Ciebie nie weźmie w ramiona.
Moja maleńka, moja ukochana!

I nie utuli, kiedyś jest strapiona,
I nie podzieli Twych radości;
A gdy pomyślę, że możesz być chorą,
A mnie przy Tobie nie ma... och, litości!

I nawet nie wiem, jak wyglądasz teraz.
Tyle czasu minęło, Twa dziecinna buzia
Pewnie się odmieniła. Czy nosisz warkocze?
Ach, już nie jesteś mała, jesteś duża,
Ale Cię chyba rozpoznam po oczach.

Kochana moja, czy Ty nas pamiętasz?
Czy tęsknisz do nas, czy myślisz czasami
O naszym dawnym i życiu, i domu?
Kochanie, oto znowu idą święta.

Pamiętasz jak to było przed świętami?
Tatuś choinkę stroił po kryjomu,
A ja zajęta szykowaniem Wilii
Mówiłam: Zosiu, nie nudź, nie hałasuj.
Wszak widzisz, Córuś, że nie mam dziś czasu.

Czy Ty pamiętasz? Bo ja ani chwili
Z tych naszych wspomnień nie mogę uronić:
To cały skarb mój, który przed rozpaczą
I od złych myśli mnie chroni.

Smutno. Jak dzisiaj czarne chmury płaczą...
Wicher uderza o baraku ściany...
W kominie słychać jakieś szlochy, jęki.
Zimno, wiesz — koce takie cienkie mamy.

A na nas śmieszne pasiaste sukienki,
Chustki i brudne fartuchy robocze,
Na nogach ciężkie, niezdarne drewniaki,
W których tak ciężko i niezdarnie kroczym.

I wszystkie takie jesteśmy jednakie,
O zżółkłych twarzach i zapadłych oczach,
Dzień po dniu ciężko wleczon jak kajdany,
Wśród poniewierki, w ciężkiej pracy, trudzie.

Źle nam jest bardzo, Ptaszku mój kochany,
Myśmy zwierzęta robocze — nie ludzie!
Chociaż — źle mówię — nawet nie zwierzęta,
Bo nam codziennie głód szarpie wnętrzności,
A o bydlęciu przecie się pamięta,
Nie klnie, nie bije w bezdennej złości.
Myśmy „przeklęta banda" — niewolnicza.

Piszę zazwyczaj do Was, żem jest zdrowa,
To nie jest prawda, lecz czepiam się życia,
Bo jeszcze bardzo pragnę wrócić do Was,
Choćby w ostatniej żywota godzinie —
Pobłogosławić Twoją jasną głowę
Na życie w pracy ofiarnej i w czynie,
I w Twoim sercu jedno wyryć słowo:
„POLSKA", więc czekam i trwam do ostatka
Ciebie niechaj Bóg chroni —

Twoja Matka.

H. G.

Rocznica

Oto mijają dwa lata.
Dwa lata życia pokuty,
Gdy nas odjęły od świata
Rzędy kolczastych drutów.

Ciężkich od trudu i znoju,
I nocy, gdzie ukojeniem
Były łzy gorzkie jak piołun.

Dwa lata w smutku straszliwym
Dzień podniu wstawał i gasnął —
Niewiele nas już zadziwi,
Przeżyłyśmy śmierć własną.

Niewiele nas już zaboli,
Cokolwiek z nami się stanie,
Nawet w najgorszej niedoli
Nic nas już nie załamie.

Bo, że nam ciężko, źle,
Że wicher w oczy dmie,
To nie jest ważne;
Że praca barki gnie,
A głód wnętrzności rwie —
To nie jest ważne;
Że smutek serce rwie,
Że wrócim albo nie —
To nie jest ważne.

I w tym jest tylko sedno —
Jednako zawsze wszędzie —
I ważne jest to jedno,
Że Polska jest i będzie.

M. R.

Kamienie i piasek

Od rana do wieczora — piasek, kamienie i piasek—
Dom budujemy z tysiąca drewnianych trzasek.
Z kamieni przerzucanych setkami naszych rąk,
Krwią świeżą poplamionych — dom budujemy zrąb w zrąb.

My ruszamy się w pracy, jak mechaniczna maszyna
Albo wahadło zegara. Pot w ciężkie krople się ścina,
Trzymamy się na nogach ostatnim wysiłkiem woli,
A w głowie, oczach, rękach coś boli, boli...
Węgiel wozimy pod górę w drewnianych taczkach łoskotem —
Pot skrapla się, skrapla, a w sercu wali jak młotem.

W zbolałym sercu dwie myśli (czy dobrną one do nieba):
Boże! odpocząć choć chwilę — i choć kawałek chleba!

Sen nagle przychodzi jak zmora; dzień raz przeżyty nie wraca,
Lecz znów ból nowy duszę cierpieniem przytłacza;
Przez sen, poprzez cierpienie, prez bolesne marzenie
Majączą w tańcu bez końca — piasek i w taczkach kamienie.

Kr. D.

Tułacz

Widzę Cię w obcym kraju —
idziesz i szukasz domu,
ślepy wyciągasz rękę —
żołnierz nieznany nikomu.

Czy nikt Ci nie pomoże.
i nikt nie wskaże drogi?
Idziesz i szukasz, i błądzisz
pod obce strzechy i progi.

Wloką Cię nogi strudzone,
kij Cię prowadzi żebraczy —
Idziesz i szukasz wciąż domu,
synu — żołnierzu — tułaczu!

Przemierzasz drogi nieznane
od krańca po kraniec świata.
Wiatr Cię pogania tęsknotą,
ślady skrzydłami rozmiata.

Błądzisz po obcych miastach
samotny w tłumie stolicy,
Jak niepotrzebny łachman
wyrzuca Cę każda ulica.

Może otarłeś się o mnie,
może gdzie jesteś w pobliżu,
Może Cię wiedzie do domu
święty Franciszek z Assyżu?.

ADAM SZYMAŃSKI

Wspomnienia Macieja Mazura

Nawiązując do artykułu w poprzednim n-rze „Chłopskiego Świata“ („Moje wspomnienia o Adamie Szymańskim“) podajemy wyjątki z noweli pt. „Maciej Mazur“ — Adama Szymańskiego. Maciej Mazur, postać prawdziwa, skazany na dożywotni pobyt na Syberii za tajną działalność niepodległościową w czasach niewoli — opowiada autorowi o swej wsi, o żonie i dzieciach. Za oknami chaty niezmierzone śnieżne przestrzenie syberyjskie i mroźna cisza, a ziemia rodzinna wszystkich — o tysiące kilometrów oddalona.

Usadowiliśmy się oba na kanapce. Maciej miał mi opowiadać swe dawniejsze dzieje. Czerwony on był jak piwonia, ale rzecz dziwna — usiadł i zamilkł, i choć już parę razy zagabywałem go: „no i cóż Macieju?“ — Maciej milczał. Tylko głębokie sapanie wskazywało, że milczenie owo nie oznacza zamilknięcia zupełnego. Przeciwnie, to myśl zwolna pracująca roznieca i rozpala mego narratora.

Maciej siedział jak zawsze prosto, z szeroko rozstawionymi kolanami, na których spoczywały obie ręce, siedział tak chwil kilka z oczami jakby w przestrzeń daleką utkwionymi, siedział nieruchomo, w ową przestrzeń, która się może przed nim odkrywała, zapatrzony, i tylko twarz jego pałała. I już rzucić mu miałem nowe energiczniejsze pytanie, by go wyrwać z zadumy głębokiej, gdy Maciej nie patrząc na mnie ni na szewca tak nam zaczął:

— Słychałzeć pon pewno o wodzie wielgiej, rzyce bystrej i carnej, co Narwiom się zowie?

— Niedalecko od ty rzyki je trzy wsie niemale, Mocarzami zwane.

— Duzo wsiów różnych widywałem, na ludzi różnych patrzałem; widziałem i tatarskie wsie wielgie, i cełdońskie *), ni to miasta rozległe, i brackie **) ułusy, i nad Angarą, i zamorskie ***) takóz, i we wsiach u siemiejskich, co za morzem mieskają i Polakami się zowią ****), a zyją dostatnio — bywałem, i nikaj, nikaj, wsiów nad nase Mocarze nie widziałem.

— Cegoz bo tam nie ma co bo tam nie jest Chryste mój miły!

I podniósłszy obie swe ręce Maciej wyciągnął je przed siebie.

— A te błonia, a pola, a te sianozęcia jak łany! A te gaje, dąbrowy, a te zboza jak złoto.

— Tu wielgie to wsyćko a nieraźne jakościć; co tu w tajdze obacys? cem tu się w polu uciesys? Zokola jak grobem cię obdaje: w górze sęp zaświscy, w tajdze niedźwiedz zarycy — ot i radość całuśka! U nas inacy.

— Wyjdzies rano, a huknies po rosie, to jak dzwonem zadźwięcy w powietrzu. Spojrzys na te stworzenie wesołe, a posluchos świergotu, co i ze ziemi, i z drzewa, i z wysoka spod niebiosów się niesie, toć wesoło na dusy, a pociągnies wonności, co z tych polów z tych łąków az biją jak z kadzielnicy w kościele, nabierzes tygo powietrza we siebie, to i siły przybywa we dwoje. Nigdzie i nikiej nie cułem w sobie tyle siły, co w Mocarzach, kiedy o wcesnym poranku słonko nase witałem. Tu i ranek nijaki, świat nie raduje się jemu ni to ptak, ni to cełdon go nie zno. U nas inacy.

— Tyle ziemiów widziałem, całą tę wielką Syberiom do morza przesedem i ziemi zamorskej kawał niemały, a ziemi takiej jak nasa nigdzie nie nalazłem, aleć o tem tu się dopiro dowiedziałem. Tu dopiro! Cy jo tylo? Som ze u nas ludzie mądre, som i księdze, som i pany, som i chłopy głowace, i nikt nie wi, co majom...

*
* *

Z jednych dożynków co to radości bywało, a w karczmie co niedziela skrzypek nasz mocarski jak zagra, to i starym nogi podrygują.

— A dziewuchy nase? Ii! nigdzie takich nie ma. Bo choćby i tu na ten przykład czyby choć razik pokazała sę jaka do mocarskiej naszej dziewuchy podobna?

— Przyjdziesz bywało, gdy się już zbierom, to jak te kwiaty, jak lilije same, a usłyszysz, jak chichocą chi, chi. chi! jak zza fartuchów ślipiami błyskajom, to i sam nie wiesz, jak krzykniesz:

— Hu, ha! Ognia chłopcy podkówkami! ano, grajku, grajze źwawo! a oberka, a moigo rżnij od ucha!

*
* *

— Maryś — dziewucha to była między mocarskimi pirsza, a choć jedna w domu była, bo bez matki, rządna, pracowita, zawdy czysto kiele niej.

— W polu zawdy przodownica. Kiedy bywało stanie na zagonie, to gdy drugiej i nie widno we zbożu, Maryś moja się nie schowa, i choć zagony duże, putoraczne, spojrzysz z tyłu, to się widzi — z pół lichy bez mała zajmuje! Dziewka była krzacasta, w sobie dobrze rozrośnięta, a czerwona jak ten mak w ogrodzie, jak ta wiśnia na słońcu.

— Zalicanki więc do niej prowadzę i dziewcyna, widzi mi się, nie od tego, bo i zerka zawdy, i tańcuje ze mnom najlepi, tylo — myślę sobie — obacę, jak te moje jenteresa idom. Więc w niedzielę raz z wiecora wypatrzułem, jak śla na tańce, a trza jej było przeleźć bez przełaz kiele Wojt-

*) Wszyscy deportowani — bez różnicy wyznań — Rosjan syberyjskich zowią czełdonami, ci zaś deportowanych — warnakami. Są to nazwy pogardliwe. Warnak od wor nagi — nagi złodziej.

**) Buriatów zowie ludność miejscowa brackimi.

***) Zamorskimi zowią się ziemie leżące za Bajkałem.

****) Staroobriadcy mieszkający za Bajkałem zowią się siemiejskimi v. Polakami, wysiedleni tu w XVIII w. z Polski.

kowy chałupy. Stanąłem se tam i stoję, a cekom. Słysę nareście, idzie, słysę, bo słychać z daleka, jak stąpa moja dziewucha. Przysła do przełazu, nogie dobrze podniesła, przefajtła się na drugom stronę i juz ma zeskoczyć, az tu patrzący na to wsyćko nie wytrzymałem — skoculem do płota i łap ją w pół, a widzi pon — je piosnecka jedna taka, co się końcy:

„Leci kacor z jeziorzyska,
Nie odwracaj ze mi...“

— Więc tę piosneckę śpiewający trzymom i chcę pocałować, aleć nie wymówiułem słowa, co je do składu, bo się mówi: „nie odwracajze mi pyska“, jak mnie nie trzaśnie między ocy, az mi w ślipiach pociemniało i nie opamiętałem się jesce, a tu chlast! mię w pysk z jednej, chlast z drugiej strony, i... „na ci pyska, na ci pyska, galanciku, a wara, a zasię!“ — krzycy i chlasta i chlasta jak kijankom po wodzie.

O rety! o la Boga! co za napaść taka! A to tak ogłupiałem, ze się nijok opamietać nie mogę, a cuję tylo, bo dziewka krzepka była, jak mi pyski rosnom od tego chlastania. Przestała nareście, siadła se na płocie, i dopiro dojmać mi i molestować:

— A cy to ja się od was takiego sromu spodziewałam, Macieju, a cy to ja jaka taka, a nie gospodarska córka, a cy to ja dworska jaka, a wietrznica, cośta bez przełaz do mnie drogę naleźli?

— A no, to jak mi to powiedziała, zmiarkowałem, tylo ze nie przysedem jesce do rozumu, to i zeskocyło mi z języka:

— A bez co? — powiadam. A no, to znowu jak ziaru na niom sypnom.

— Bez co, bez co? — krzycy. — A cy to wy mały, a nie narobek jesteśta? Widzis go, mądrala do zalicanek się zabiera, a nie wi bez co do dzieuchy utrzymałej droga wiedzie? A bez ojców, a bez rodziciela, kiedyśta dureń — to wam powiem! —

— A no, to tak mię za serce jęna, ze oniemal nie rozbecałem się jak cielę.

— A przyjmieta? — powiadam.

— Abo wy krzywy abo jaki, abo to was ojce nie znajom?

— A ty, Maryś? — mówię.

— No, a jakze, ajuści — powiada — jak ojce kazom.

— Uumm, a to dziewka myślę sobie dobra, to tak mi się udała, ze byłbym juz nie zwazał, ze jesce moze się rozgniewa, i obłapiłbym jom znowuj, aliści nadysed ktoś; ona zeskocyła i poleciała na tańce, a ja posedem do domu, bo pyski mi powyrastały jak bułki łomzyńskie, co tatuś bywało po trojaku z jarmarku przywozili. Nie wieczerzałem juz, tylo zawalułem się spać na wyśki, no ale na drugi dzień idę do ojców i powiadam tak i tak, zeby zaro dziewosłęby. Choć dziwowali się dlacegoj tak obcesowie, ale uparem się i prosiłem.

— Daliśmy na zapowiedzi i wesele tośmy mieli, jak starzy w Mocarzach nie pamiętali, bo i moi, i jej ojce, choć nie bogaci, ale zasobni byli gospodarze.

Maciej urwał raptownie.

— I nie było juz mi zycia na świecie jak bez te siedem lat z mojom — zaczął Maciej znowu, ale powoli i dobitnie, jakby odmierzając każde słowo.

— Maryś dziewka rzadka była, aleć babą jeszcze lepsza.

— Kóżny rok prawie, kiele Bożego Narodzenia, no to już się i rozsypie, alić kłopotów żadnych z tego, bo i trzech by zaraz karmić mogła. A chłopaki wszyćko byli, a we mnie kóżny kubek w kubek jak ulany.

— A w domu czysto i rzędnie, i wedle jadła, i wedle przyodziewku — dopowiadał Maciej miarowo.

— A co po gospodarstwie to i mówić nie trza.

— Wiodło mi się, ptasiego mleka brakło tylo...

Maciej zawilkł, a my poczuliśmy jakoś, że z ostatnim jego słowem pękła złota nić tego życia, które już tylko sztucznie nawiązywać mogliśmy.

Maciej zwiesił na szeroką pierś swą głowę wspomnieniami rozkołysaną i milczał posępny, łowiąc może ostatnie blaski znikających bezpowrotnie dni jaśniejszych, lub może oglądając wyłaniające się przed nim z mroku dawnej przeszłości dnie trwogi i bólu.

Uniwersytet Ludowy im. Zygmunta Nowickiego w Rudzienku

Związek Nauczycielstwa Polskiego, realizując postulat kulturalno-oświatowy i społeczno-gospodarczy wsi, uruchamia z dniem pierwszego grudnia 1946 r. Koedukacyjny Uniwersytet Ludowy, im. Zygmunta Nowickiego w Rudzienku k. Dobrego, pow. Mińsk Mazowiecki.

Kurs trwa pięć miesięcy. Nauka bezpłatna. Wyżywienie w internacie prowadzone będzie sposobem samorządowo-spółdzielczym przez uczestników kursu w ramach samowystarczalności w postaci złożenia odpowiedniej ilości produktów lub równowartości pieniężnej.

Od zgłaszających wymagane jest ukończenie 18 lat życia, społeczne nastawienie do dzisiejszej problematyki wsi, która od absolwentów uniwersytetów ludowych oczekuje przewodnictwa w realizowaniu zagadnień kulturalno-oświatowych i społeczno-gospodarczych.

Chętni oddania się tej pracy będą przede wszystkim mile widziani w Rudzienku, gdzie z Uniwersytetu Ludowego pragniemy uczynić placówkę, która by dała wsi świadomych i uspołecznionych jej pracowników.

Podania z krótkim życiorysem, odpisem świadectwa szkolnego oraz zaświadczeniem koła młodzieżowego lub innej organizacji należy kierować do Wydziału Pracy Społecznej Związku Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8.

Indywidualnych informacji udzieli chętnie Wydział Pracy Społecznej Z. N. P.

O przyjęciu do Uniwersytetu Ludowego każdy zostanie powiadomiony osobiście.

Podanie należy przesyłać w terminie jak najszybszym.

JÓZEF KRZYCZKOWSKI

Rolnictwo Ziem Odzyskanych

Użytki rolne wynoszą obecnie w Polsce 21.2 mil. ha, z tego na ziemie stare przypada 14.7 miln. ha, a na odzyskane 6.5 miln. ha. Warto uzmysłowić sobie, iż gdybyśmy owych odzyskanych ziem nie mieli — jak zdaje się chcieliby pp. Churchil i Byrnes — i zmuszeni byli ulokować całą naszą polską ludność w województwach starych, to na 1 km. kw. przypadałoby 112 osób, gdy przed wojną niewiele więcej niż 90. Jeżeli chodzi o ludność utrzymującą się ze względu na posiadane kwalifikacje z rolnictwa, to na 100 ha użytków rolnych przypadałoby niemal równo 100 osób, gdy przed wojną odpowiednia liczba w województwach do Bugu wynosiła 81 robotników. Na głowę ludności rolniczej przypadałoby wtedy 1 ha, gdy przed wojną 1.2 ha.

Pobieżne choćby zapoznanie się z tymi porównaniami wskazuje, iż recepta p. Churchila, a teraz być może i p. Byrnesa, którzy chcieliby widzieć Polskę na linii Curzona na wschodzie, a na zachodzie i północy na dawnej przedwojennej linii granicznej, dałaby przeludnienie Polski, jakiegośmy nigdy nie mieli, tzn. nędzę, słabość, brak widoków na lepsze jutro, przewyższające beznadziejny niemal stan przedwojenny. Za łaskawą zgodą p. Churchila i innych jemu podobnych przeprowadzona, być może, poprawka na północy, polegająca na włączeniu dawnych Prus Wshcodnich i — co już wątpliwe przy ich szczodrobliwości w stosunku do nas — Gdańska, dałaby tak niewielką korektywę, iż nie warto o niej mówić.

Nie wszyscy w Polsce zdają się pamiętać o znaczeniu dla dzisiejszej Polski ziem odzyskanych i widzieć jasno, co by było, gdyby pomysły pp. Churchila i Byrnesa zostały zrealizowane, dlatego też trzeba stale podsuwać ludziom przed oczy liczby porównawcze, które przytoczyliśmy.

*

Rzecz prosta, nie wystarczy owe ziemie odzyskane mieć, by nie lękać się nędzy i słabości, boć tylko w drodze całkowitego wprzęgnięcia tamtych terenów w służbę gospodarstwa narodowego da się uzyskać konieczne minimum do ruszenia z przedwojennego martwego punktu.

Jeśli chodzi o rolnictwo, to na ziemiach odzyskanych istniało przed wojną 464 tys. gospodarstw różnej wielkości. Podział na poszczególne wielkości był następujący:

poniżej 2 ha	106 tys.	gospodarstw	23%
2—5 ,,	105 ,,	,,	23%
5—10 ,,	112 ,,	,,	24%
10—20 ,,	87 ,,	,,	19%
20—50 ,,	39 ,,	,,	8%
50 i więcej ,,	14 ,,	,,	3%

Liczby powyższe dotyczą lat przedwojennych, a wojna, jak wiemy, zmieniła tam niemało. Zniszczenia w samych tylko budynkach wynoszą od 5 proc. do 20 proc., czyli uznać należy, iż zabudowanych gospodarstw jest tam teraz niewiele więcej niż 400.000. Jest to liczba niemała, ale trudność objęcia tych warsztatów pracy nie polega tylko na wynalezieniu osadników.

Struktura gospodarcza ziem odzyskanych została bardzo zasadniczo zmieniona nawet pod względem istniejących możliwości, a nie tylko tego, co już uruchomiono. Poważna część przemysłu była w gruzach, wiele zakładów przemysłowych nie może być nawet w przyszłości uruchomionych, bo nie miałoby to z naszego punktu widzenia racji. Ziemie odzyskane stanowiły do niedawna uzupełnienie gospodarstwa niemieckiego, które stawiało im zupełnie inne wymagania, niż to my musimy czynić. Innymi słowy, ziemie odzyskane na długi okres czasu ne będą miały tak silnego przemysłu, jak to było za Niemców, a co za tym idzie — nie da się tam osiedlić takiej jak dawnej lości ludności poza rolniczej. Będzie to miało niemałe znaczenie dla wsi, bo gospodarstwa do 5 ha a nawet wyżej stanowiły na ziemiach odzyskanych w dużym stopniu warsztaty pracy dodatkowej dla tych, którzy mieszkając na wsi trudnili się w zasadzie innym niż rolnictwo zawodem.

Dzisiaj liczyć na taki stan rzeczy nie sposób— wniosek stąd, że większość gospodarstw, co najmniej do 5 ha, musi zostać upełnorolniona. aby móc służyć takim zadaniom, jakie obecnie życie zrodziło. Mamy więc przed sobą pierwszą trudność do pokonania, związaną z opanowaniem i zagospodarowaniem ziemi na tamtych terenach. Trudność polegać będzie z jednej strony na konieczności dokonania łączenia gospodarstw i tworzenia pełnorolnych warsztatów, z drugiej zaś na marnotrawieniu w poważnym stopniu budynków na kasowanych warsztatach.

*

Na drugiej stronie budowli strukturalnej znajdują się gospodarstwa folwarczne. Jest ich ilość niemała — gospodarstw ponad 100 ha było tam 8,5 tys., o obszarze użytków rolnych 1,9 miln. ha. Zarówno nasze założenia struktury rolnej, jak i brak polskich rąk do pracy na folwarkach, zmuszają do jak najśpieszniejszej parcelacji owych majątków. Tutaj, rzecz prosta, spotkamy trudność bez porównania większą, niż przy upełnorolnianiu gospodarstw nieżywotnych, bo nie tylko większy wysiłek będzie potrzebny przy samej technice podziału, ale, co ważniejsza, przy zabudowie nowych warsztatów pracy.

Dotykamy w tym miejscu zadania najtrudniejszego organizacyjnie i finansowo. Tym niemniej nie da się tu długo odkładać sprawy parcelacji i zabudowy, jeżeli mamy szybko w pełni włączyć ziemie odzyskane do struktury wytwórczej kraju.

Dla orientacji podajemy, że przy użyciu 500 geometrów można byłoby dopiero po 2 latach ukończyć akcję podziału ziemi folwarcznej. A wiadomo, że cały sztab geometrów ma wciąż pracy nadmiar na starych ziemiach; ruszenie sprawy na terenach odzyskanych wymagałoby przerzucenia od innych robót większości istniejącego aparatu mierniczego. Taka decyzja jest neodzowna, choć trudna.

Jeżeli chodzi o koszt pobudowania nowych warsztatów na ziemi pofolwarcznej, to przyjmując, iż co najmniej 150 tys. gospodarstw na niej powstanie, a budynki będą tak niemal skąpe, jak na „poniatówkach", trzeba by było 1,5 miliarda przedwojennych złotych. Niewiele pomylimy się, gdy, przeliczając na dzisiejszą rzeczywistość, a więc mnożąc przez 100, ocenimy, iż teraz trzeba by 150 miliardów złotych. Gdy zważy się, że ostatnia wewnętrzna pożyczka niewiele przekroczyła 3 miliardy złotych, widzimy, jak kolosalny wysiłek będzie konieczny, i że dokonać go prędko nie będziemy mogli.

*

Poruszane kwestie wskazują, iż na ziemiach odzyskanych mamy jakby cztery odrębne zadania w dziedzinie osadnictwa rolnego: 1) obsadzenie pełnorolnych gospodarstw chłopskich z istniejącymi zabudowaniami; 2) obsadzenie połączonych gospodarstw chłopskich nieżywotnych, ale z zabudowaniami; 3) obsadzenie parcelowanych folwarków z zabudowaniami i 4) obsadzenie ziemi chłopskiej i folwarcznej po dokonaniu odpowiedniej zabudowy.

Pierwsze zadanie jest najłatwiejsze, drugie też nie będzie zbyt trudne. W dzisiejszym stanie rzeczy większość gospodarstw chłopskich z zabudowaniami już została obsadzona, resztki przeznaczone są niemal wyłącznie dla repatriantów. W kwestii łączenia gospodarstw nieżywotnych niewiele jeszcze uczyniono, ale i one zapewne zostaną przeznaczone dla repatriantów.

Jeżeli mielibyśmy rzecz rozpatrywać z punktu widzenia zadań ludności rolniczej województw starych z tej strony linii Curzona, jak również możliwości zmniejszenia przeludnienia rolniczego na starych terenach, to stoi przed nami przede wszystkim kwestia opanowania użytków rolnych w folwarkach ziem odzyskanych. Jak mówiliśmy, owych użytków jest 1,9 miln. ha. Liczba to niemała, zważywszy nawet, że część z tego pozostanie w folwarkach o przeznaczeniu specjalnym — przede wszystkim ze względu na zakłady kultury rolnej. Wprawdzie Ministerstwo Ziem Odzyskanych ostatnio przeforsowało zasadę, iż 10% ogółu użytków rolnych (jest ich 6,2 miln. ha) będzie wyłączona od parcelacji, ale zapewne ulegnie to zmianie, skoro postulatem P. S. L., zaczerpniętym z dokładnych przepracowań, zwłaszcza z czasów konspiracji, nie powinno być więcej, niż 3% do 5% użytków rolnych przeznaczonych na wszystkie wyłączenia.

*

Obsadzenie i zagospodarowanie folwarków natrafia na przeróżne trudności dlatego między innymi, iż brak jest ludzi, którzy by poszli z chęcią na fornali do owych folwarków. Każdy rozumuje w sposób podobny: pójście na ziemie odzyskane stanowi pewne ryzyko, a niewątpliwie wymaga wielu wyrzeczeń się i trudu, — jeśli więc tam iść, to trzeba z miejsca dostać takie gospodarstwo, w którym każdy wysiłek znajdzie zapłatę — prędzej czy później. Stąd też decydujący się na przesiedlenie szukają przede wszystkim gospodarstw samodzielnych.

Na fornali zgłasza się ludność miejscowa lub ci repatrianci, którzy nie mają za co chwycić się, gdyż nie posiadają żadnych dóbr materialnych. Jeżeli chodzi o repatriantów, traktują oni zajęcie fornala tylko jako zatrudnienie przejściowe, czyli nie mogą stanowić trwałego oparcia dla gospodarki folwarcznej.

Dzisiaj majątki większe korzystają jeszcze z pracy Niemców — oni właściwie są podstawową siłą roboczą. Wiemy jednak, iż w tym roku musimy usunąć Niemców z naszego terytorium, znajdą się więc owe folwarki w sytuacji w wielu wypadkach bez wyjścia.

Ten stan rzeczy zmusił do szukania innych rozwiązań, niż dotychczasowe w opanowaniu ziemi folwarcznej. Została wysunięta koncepcja spółdzielni osadniczo-parcelacyjnych, których zadaniem byłoby natychmiastowe objęcie folwarku i z jednej strony zagospodarowanie go, z drugiej zaś przygotowanie jak najszybsze parcelacji i dokonanie zabudowy. W tym celu powołana została do życia Społeczna Rada Osadnictwa Spółdzielczo-Parcelacyjnego, składająca się z ogniw: centralnego, wojewódzkich i powiatowych. Wchodzą do niej przedstawiciele Z. M. W. „Wici", Samopomocy Chłopskiej, Z. W. M., TUR-u, Z. N. P. i Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. Prace wykonawcze spoczywają głównie na aparacie organizacyjnym „Wici" i Samopomocy Chłopskiej.

Akcja propagandowa i organizacyjna jest w pełnym toku, obecnie przełamuje się trudności, wywołane słabym działaniem aparatu rządowego, który nie potrafił w ciągu kilku miesięcy wyznaczyć majątków przeznaczonych dla owych spółdzielni i zorganizować przewozu i oprowadzania delegacji ze starych ziem, mających zapoznać się z oferowanymi majątkami.

Ustalony przez Społeczną Radę Osadnictwa Spółdzielczo-Parcelacyjnego statut dla spółdzielni wyraźnie określa, że spółdzielnie są

tworem przejściowym, trwającym najwyżej 5 lat, mogącym poza tym w każdym czasie przestać istnieć za wolą większości. Poza tym zakres czynności spółdzielni może być różny: jeżeli zrzeszeni uznają, iż chcą razem pracować tylko w zakresie parcelacji czy budowy nowych zagród, mogą ograniczyć się i do tego. Tylko ci, którzy wyraźnie tego zechcą, stworzą spółdzielnię operującą wspólnie maszynami, tak samo dopiero na wyraźne życzenie zrzeszonych będą oni wspólnie gospodarować, czy to w zakresie wspólnych upraw, czy upraw i zbiorów. A co najważniejsze, członkami spółdzielni mogą zostać tylko ci, którzy otrzymają od władz ziemskich akt nadania na określonej wielkości działkę w wyznaczonym Spółdzielni majątku. Czyli nie będzie tu mowy o spółdzielni posiadającej ziemię, — ziemia z miejsca będzie własnością poszczególnych członków, a inwentarz, który ze sobą przywiozą, nie przestanie ani na chwilę do nich należeć.

Wszystko to zmierza do stworzenia indywidualnego posiadania ziemi, a wspólnego gospodarowania w zakresie dowolnym i możliwie w czasie najkrótszym. Sądząc z dotychczasowego zainteresowania ową sprawą terenu, można już twierdzić, iż znajdzie się dość chętnych do obsadzenia ziem folwarcznych w drodze ustalonych specjalnie dla tego celu spółdzielni osadniczo-parcelacyjnych. Istota zagadnienia leży w tym, iż innej drogi zagospodarowania ziemi folwarcznej tam nie ma, chyba że chcemy pójść na parcelację na wzór ostatniej, a poza tym decydujemy się, żeby osadnicy przez ileś tam lat mieszkali na swej ziemi w ziemiankach. Chyba prędzej zabuduje się gospodarstwa wspólnym wysiłkiem, niż w pojedynkę.

*

Stan zagospodarowania folwarków na ziemiach odzyskanych, mimo wykorzystywania sił niemieckich, jest na ogół zły. Zasiewy jesienne objęły zaledwie 15,4% gruntów ornych. Siewy wiosenne w żadnym razie nie wyrównywują braków. Przyczyny tego są bardzo różne: brak inwentarza pociągowego, inwentarzy martwych, nawozów, ale również i ludzi, jak i organizacji sprawnej i ekonomicznej. Ustalono, iż na Dolnym Śląsku — to znaczy na terenie najlepszym pod każdym względem — zasiano na jesieni zaledwie 64% tego, co powinno być ze względu na posiadane siły pociągowe. Przeciętna wydajność dzienna traktora była wyjątkowo niska, bo wynosiła 0.6 ha, to znaczy czterokrotnie mniej, niż być to powinno.

Dla ilustracji podajemy, iż np. w takim województwie mazurskim w jednej z dyrekcji majątków państwowych (Olsztyn) ogółem uprawiono na jesieni i wiosną około 16 tys. ha, gdy ziemi ornej było tam 128 tys.

Należy spodziewać się, że już na jesień tego roku będzie na ziemiach odzyskanych lepiej, tak pod względem inwentarza pociągowego, jak i nasion i nawozów, lecz jeśli nie w jesieni, to na wiosnę wystąpiłby olbrzymi brak rąk do pracy, przekreślający po wysiedleniu Niemców możność uprawy ziemi folwarcznej, w wypadku nie udania się akcji spółdzielni osadniczo-parcelacyjnych. Dlatego też tak wielką wagę do tej sprawy przykłada zarówno Ministerstwo Rolnictwa i R. R., jak i inne.

Ostatnie zarządzenia idą w tym kierunku, by na pierwszy ogień przeznaczyć folwarki o najlepszych zabudowaniach, i gdzie się tylko da, zagospodarowane. Rzecz prosta, że to słuszne posunięcie wicepremiera Mikołajczyka zachęci ludzi bardziej rzutkich do szybszego napływu na ziemie odzyskane. Ci, którzy będą pierwsi, dostaną majątki lepsze, opóźniający się — tak jak to było z gospodarstwami chłopskimi — otrzymywać będą warsztaty coraz gorsze.

Wielką przeszkodą — zarówno w zagospodarowywaniu, jak i osiedlaniu ziem odzyskanych — jest katastrofalny brak siły pociągowej w gospodarstwach rolnych. Przed wojną na tych terenach było ponad 900 tys. koni i około 9.000 traktorów Dzisiaj liczba koni wynosi w rolnictwie nie więcej niż 190 tys., traktorów czynnych jest około 3.500.

Blisko pięciokrotny spadek pogłowia końskiego i dwu i półkrotny traktorów na skutek działań wojennych i powojennych stawia największą tamę w szybkich zmianach na Zachodzie.

Aby uprawić ugory tylko w tych gospodarstwach, które posiadają budynki, trzeba by co najmniej jeszcze 150 tys. koni i około 10.000 traktorów.

Ta liczba siły pociągowej w żadnym razie nie wystarcza nawet na gospodarkę w objętych już warsztatach pracy. Stąd też ugory w gospodarstwach chłopskich wynoszą wzwyż 30%, a w folwarkach tylko objętych przez Państwowy Zarząd Nieruchomości Ziemskich — 70%.

Brak rozwiązania kwestii siły pociągowej w drodze kupna zagranicznego — w kraju nie ma gdzie nabyć większych ilości — właściwie przekreśla sens dalszego osiedlania ludzi, skoro już teraz istnieje poważny brak siły pociągowej dla dotychczasowych osadników.

Zresztą dostawy UNRRA (40.000 koni i 6.000 traktorów) i możliwości kupna zwłaszcza w Danii (50.000 koni) w dużym stopniu może zaradzić złu, aby tylko poważniej, niż jest to dotychczas, zabrać się do pracy.

Sprawa zasiedlenia i zagospodarowania ziem odzyskanych, a w tej mierze i folwarków, jest dla nas zagadnieniem wielkiej wagi. Chodzi tu o umożliwienie reszcie ziemi zużytkowania poważnego nadmiaru ludności rolniczej i przystąpienia do uzdrowienia struktury rolnej; o polepszenie sytuacji żywnościowej kraju; chodzi wreszcie o przecięcie sprawy przynależności owych odzyskanych ziem do Polski.

WŚRÓD KSIĄŻEK

GOSPODARKA NIEMIECKA W POLSCE 1939 — 1944

Książka ta napisana była podczas okupacji, w Warszawie, a przeznaczona była dla czytelnika anglosaskiego, z takim oto zamierzeniem autora: „wydawało się, że omówienie poczynań okupanta w sposób wszechstronny i wskazujący również cele jakie on sobie postawił, stanowić może najskuteczniejszą odpowiedź na nieschodzące z ust anglosaskich pytanie: a po cóż by Niemcy to wszystko robili? Nie mogąc wczuć się w duszę niemiecką, nie mogąc zrozumieć, czemu ci czysto umyci ludzie tak chętnie mazali się we krwi — Anglik wprost nie dowierza, że czynili to naprawdę. Nie dowierzał podczas wojny, a nie dowierza i teraz, mimo że własne oczy pokazywały mu okropności obozów. Przeto szkoda, że nasi londyńscy rodacy nie zdołali przetłumaczyć i wydać tej wielkiej i skrupulatnej pracy, posłanej im z Warszawy tak, jak się przyjaciołom posyła testament do wykonania. Ano, łatwiej było w Generalnej Guberni napisać, niż w Londynie wydrukować.

Oczywiście, mamy za złe Anglikom, że nie dowierzali temu, co było naszym dniem codziennym. Nie minęło jeszcze dwa lata, a oto, mając w książce Jastrzębowskiego obraz całokształtu tego co Niemcy z nami czynili, my sami chwytamy się na uczuciu niedowierzania. Przyznaję, że zły za to byłem na siebie, ale tym niemniej, czytając, wielokrotnie nasuwała mi się wątpliwość: czyżby aż tak? Nie ma tam żadnych krwawych opisów, przeciwnie, książka jest aż nadto spokojna, obiektywna, umiarkowana. Autor sam zwraca uwagę że styl jego opisu aż drażni umiarem: „Opis jest wierny, ale wiernością tych protokółów sądowych, co wymieniają dokładnie rany tłuczone, cięte i szarpane, ich liczbę, rozmiar, głębokość, rozmieszczenie i wpływ na działanie organizmu—ale ginie w nich istota faktu, że oto zamordowano człowieka, nie widać ani zbrodniarza, ani jego ofiary, ani walki, jaką ze sobą stoczyli". Ale właśnie tak beznamiętnie i metodycznie oglądana, uwolniona od oparu krwi, mordownia niemiecka okazuje się czymś tak niesamowitym, że wbrew skrupulatnie zgromadzonym dowodom wzbudza uczucie niedowierzania. Nic dziwnego, że umysł i serce uczciwego człowieka mają tylko ograniczoną możność zrozumienia oszalałego zbrodniarza. Ulegam wymowie faktów i dowodów, ale nadal mnie gnębi pytanie: i po cóż by oni to wszystko robili?

* * *

To właśnie pytanie jest myślą stale nurtującą przy czytaniu książki Jastrzębowskiego. Odpowiedź jest na stu bodaj stronach, omawiających niemieckie plany zorganizowania Europy, a zwłaszcza ziem polskich. Żeby Europą władać, umieli zyskać samowystarczalność wyżywieniową i sztucznie sobie wychować ludność rolniczą, szybko się rozradzającą, dającą licznego i dobrego rekruta. Na to zaś trzeba było ziemie polskie uczynić niemieckimi w całości i bez reszty, to był konieczny początek opanowywania Europy. I trzeba się z tym było śpieszyć, bo już w r. 1950 byłoby w Polsce tyle samo chłopców 15-to letnich, co... w Niemczech. I trzeba było stosować środki najbardziej bezwzględne, okrutne, nieludzkie, bo wieki nauczyły Niemców, że przy jakiejkolwiek równości praw, Polaka w walce pokojowej nie przemogą. Więc palili nas w piecach krematoryjnych, w niepamięć spychali samo imię Polski, bo to był konieczny i pierwszy stopień do wielkiego celu: władania Europą i światem.

Nie wystarcza to wytłumaczenie. Drażni nadal pytanie: czemuż to, dla jakiego celu Niemcy zapragnęli być władcami Europy, i w pragnieniu tym tak się zacieklі, że ono zdusiło w nich dobre i szlachetne cechy ludzkie, najspokojniejszego człowieka niemieckiej krwi zmieniło w mordercę? Dla korzyści materialnych, z władzą się łączących? Dla zapewnienia swemu narodowi wspaniałych perspektyw rozwoju?

Owszem, chodziło i o to. Czytamy, jak ściśle opracowano plany zmonopolizowania w Niemczech wszystkich tych dziedzin gospodarowania, które najwięcej przynoszą korzyści i najmniej trudzą człowieka. Gdzie chytrze zastosowano metody, aby inne narody musiały Niemcom dostarczać swych surowców i płodów swej pracy, i to bardzo tanio. Jak w tym celu zabiegano, aby stopa życiowa była w Niemczech wyższa niż w innych krajach, gdzie człowiek miał być biedniejszy, mniej wymagający i mniej od życia otrzymujący, pozbawiony możności awansu społecznego. Jak stale pracować mieli w Rzeszy nowocześni niewolnicy, traktowani jak ludzkie bydło robocze, uwalniające swego niemieckiego pana od prac cięższych i przykrych. Jak wspaniale miała wyglądać zagroda i wieś niemieckiego „Wehrbauera" (zbrojnego chłopa) na zdobytych ziemiach polskich.

Ale przecież korzyści materalne, choćby najwspanialej zakrojone, Niemcy mogli byli osiągnąć i na innej, pewniejszej drodze. Wiedzieli oni lepiej niż kto inny, że wykorzystując swój potencjał przemysłowy i niewątpliwe talenty organizacyjne swego narodu, mogli ze współpracy pokojowej z innymi krajami ciągnąć zyski podobnie wielkie, jak zamierzali osiągnąć z oręża. Jeśli chcieliby masła, nie potrzebowali go przerabiać na armaty. Stała też przed nimi otworem droga nawet eksploatowania innych ludów bez mordów i jawnej grabieży, siłą przewagi gospodarczej, jak to czynią z wielkim powodzeniem Anglicy i Amerykanie. I to wszystko bez tych olbrzymich ciężarów, jakie nałożyli sami na siebie przed wojną i podczas wojny; a zwłaszcza bez ryzyka klęski. Kupiec, kupieckim tylko rozumem się powodujący, na pewno nie uznałby niemieckich planów panowania nad światem za najbardziej korzystny interes. Sami zresztą ideologowie hitlerowscy pilnie się zastrzegali, iż po zwycięskiej wojnie dobrobyt jednostki nie może być zbyt

wielki, aby w szczęściu i beztrosce ne zatracił Niemiec „surowych cnót" żołnierza, dozorcy niewolników, sługi swego narodu. A wreszcie najważniejsze: czy dla samego tylko dobrobytu może cały wielki naród zabić w sobie ludzkie uczucia i sumienie, choćby to był nawet naród niemiecki?

Nie, stanowczo, niemiecki gmach zbrodni był zbyt olbrzymi, aby miał służyć tylko ciągnieniu zysków materialnych. Pragnienie władania Europą i światem, realizowane takimi środkami, jakich użyli Niemcy, wywodzić się musiało z jakichciś innych pobudek. Działać tam musiała jakaś potężna pasja psychologiczna, a nie kalkulacja kupiecka.

* * *

Aczkolwiek książka Jastrzębowskiego zajmuje się głównie sprawami społecznymi i gospodarczymi, to jednak w zakresie na tyle szerokim, że autor bardzo często wkracza w dziedzinę polityki i socjologii, a więc zajmuje się i tym, co można by nazwać psychologią Niemiec hitlerowskich. Te fragmenty są bodaj najciekawsze, w nich też zarysowuje się odpowiedź na męczące nas pytanie. Wyziera ona z następującego stwierdzenia, dotyczącego tzw. Wielkiej Europy, stanowiącej „teren, na którym miało się spełnić posłannictwo dziejowe Niemiec. Posłannictwo to spada na nich jako na naród biologicznie doskonalszy od innych, a przeto o b o w i ą z a n y do rządzenia ludami mniej wartościowymi (Herrenvolk), gwoli zapewnienia im w ten sposób pokoju i szczęścia".

Otóż to: o b o w i ą z e k wobec ludzkoci, p o s ł a n n i c t w o dziejowe, m i s j a przez Boga wyznaczona i tkwiąca w metafizycznych właściwościach germańskiej krwi. Takie podejście do sprawy wyznacza cel absolutny, nie dający się zaatakować żadnym dalszym „dlaczego", nie wymagający, i nawet nie znoszący żadnego w ogóle rozumowania. Albowiem jesteśmy tu już w sferze irracjonalnej, w sferze wiary, a nie rozumu: wolą Boga i cnotą człowieka jest, aby Niemiec rządził światem, w swej krwi doskonalszej od innych ma na to legitymację mistyczną. Idąc po linii swego niemieckiego obowiązku wobec ludzkości, wykonując swą niemiecką cnotę i wolę niemieckiego Boga — mogli Niemcy uznać za dobro wszystko to, co ich świętemu posłannictwu sprzyjało, i uznać za zło wszystko to, co się owemu posłannictwu sprzeciwiało. Tak sobie ukształtowali swą niemiecką „moralność", albowiem moralnością jest nie co innego, jak sposób dzielenia zjawisk na dobre i złe. Powiecie, że to jest właśnie zaprzeczenie moralności — tak, ale zaprzeczenie naszej moralności — narodów pokój i wolność miłujących, która znowu w Niemcach wzbudzała obrzydzenie i pogardę. My i oni nie możemy się zrozumieć, skoro chodzi tu o sprawy wiary, a nie rozumu.

Przewiduję, że rozważania powyższe wydadzą się czytelnikowi dziwaczne, a ich przeczytanie oznaczać będzie przykry wysiłek myślowy. Ale jak wiele to wyjaśnia! Hans Frank, występując jako najwyższy kapłan prawa niemieckiego, mógł je sformułować w błyskotliwym zdaniu: „Recht ist, was dem Volke Heil bringt", co znaczy, iż wszelkie zbrodnie popełniane w imię dobra narodu niemieckiego są czynem sprawiedliwym — i było to zgodne z moralnością niemiecką. Wśród naszych oprawców widywaliśmy poczciwych piwoszów, kochających zwierzęta i kwiaty, wzorowych ojców swej rodziny i wzorowych obywateli swej gminy — no tak, bo mordując nas wypełniali czyny cnotliwe w swym mniemaniu. Sami na siebie nakładali Niemcy największe ciężary w czasie pokoju i wykazali ofiarność w wojnie, nie szczędząc życia i mienia — bo też przyświecał im cel najwznioślejszy: osiągnięcie na ziemi Królestwa Bożego, oczywiście niemieckiego Boga. Naród, który podniósł oręż obronny przeciw Niemcom był narodem grzesznych egoistów, sprzeciwiał się dobru i szczęściu ludzkości — więc zniszczyć go było cnotą.

Przypomnijmy sobie, że z reguły odnosiliśmy wrażenie, że Niemcy w swym własnym przekonaniu nie czynili u nas nic złego. Dziś jeszcze przebija się to z postawy zbrodniarzy wojennych wobec sądu i w ogóle z postawy narodu niemieckiego wobec jego win. Byli i są spokojni w swym sumieniu, w swym niemieckim sumieniu. To właśnie jest najbardziej w nich potworne.

W omawianej książce, tak bardzo umiarkowanej, autor przy tym właśnie temacie czuje się zmuszonym zrezygnować z suchej rzeczowości i „przypomnieć modne parę lat przed wojną obrazy filmowe, których bohaterem był sztuczny człowiek, homunculus, mający ludzkie ciało i mózg, ale pozbawiony duszy. Szerzył wokół siebie zniszczenie i nieszczęście, ale nie ze złych instynktów, a z braku instynktów ludzkich. Nie łączyła go z otoczeniem żadna więź psychiczna, deptał ją, jak my depczemy ziarna piasku. Używał swych ludzkich środków działania dla swych nieludzkich celów. Niemiecki Herrenvolk jest takim homunculusem wśród narodów. Zatracił w sobie wspólną całej ludzkości granicę między złem i dobrem. Do jego czynów nie należy stosować kryteriów etyki, moralności, prawa, bo były dokonywane bez udziału tych pojęć; trzeba się do nich odnosić jak do pożaru, który spalił dom, skały, jak do siły, która zmiażdżyła człowieka. Nie warto ich sądzić. Trzeba się wprost zabezpieczyć przed nimi na przyszłość".

* * *

Było pytanie: „po cóż by Niemcy to wszystko robili?" Jest na nie odpowiedź: „bo pozwalała im na to i nakazywała im to ich niemiecka moralność". I nie można się już pytać d l a c z e g o tak było, bo tu już skończyło się z rozumowaniem, jest wiara, misja, pojęcia absolutne i irracjonalne. Opętała ta misja naród niemiecki

W historii zdarzało się to narodom nieraz, choć w formie nie tak skoncentrowanej i okrutnej. Cóż innego, jak nie poczucie **misji** gnało na podboje mahometańskich Arabów, Hiszpanów w Ameryce, czy tychże Niemców na Słowian połabskich i Prusów? I we wszystkich tych wojnach religijnych, u których podstaw było irracjonalne poczucie misji, wyzwalał się najsroższy fanatyzm, było najwięcej krwi i okrucieństwa. Albowiem gdzie jest posłannictwo bez umiaru, bez miłości bliźniego, tam nie ma mowy o tolerancji, nie zostaje miejsca na szacunek dla przeciwnika i niemożliwe jest ułożenie jakiegoś kompromisu z nim, nie może bowiem być kompromisu między „cnotą" i grzechem. W rozumieniu niemieckiej moralności było to ciężkim grzechem naszym, iż chcieliśmy żyć po polsku, albowiem „cnotą" jest żyć po niemiecku.

Dochodzimy w ten sposób do najistotniejszej cechy hitleryzmu i w ogóle wszelkiego faszyzmu. Jeżeli jakaś grupa ideologiczna uczyni sobie ze swego programu wy-

znanie wiary bez miłości bliźniego, i przejmie się nim tak silnie i głęboko, iż uzna za swe posłannictwo narzucać tę wiarę innym, wbrew ich woli, bez żadnego ograniczenia środków i metod działania — wtedy mamy do czynienia z faszyzmem. Jeżeli ktoś do kogoś mówi: „dla twego szczęścia winieneś żyć wedle mojej recepty, a jeśli nie chcesz, to dla twego szczęścia połamię ci kości" — to znaczy, iż grozi naruszenie podstaw moralnych bytu społecznego i niewola, albo walka bezwzględna. Przeciwieństwem tego jest tolerancja i szacunek dla poglądów cudzych, z czego wynika umiar w doborze metod propagowania własnego poglądu oraz zdolność do kompromisu — co właśnie wydaje się być istotą demokracji. — My, Polacy, jesteśmy pierwszym z narodów, który sobie wyznaczał misję historyczną ujętą w hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi", oraz drugie: „za naszą wolność i waszą". Do takiej doktryny nie można przymuszać sąsiada siłą fizyczną. Może dlatego właśnie byliśmy tak obcy i nienawistni Niemcom.

W. Kozłowski.

Z CZASOPISM

„O sytuacji literatury i pisarza" (referat na Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich w Łodzi, dnia 27.X. 1946 r., druk. w numerze 43 *„Kuźnicy"*) mówi Stefan Żółkiewski, zalecając marksizm, następująco: „I po wielu próbach przychodzi mi sądzić, że marksizm, jako filozofia kultury, na swoim terenie daje prostą, jasną, sprawdzalną wiedzę o sprawach i losach ludzkich. Naturalnym wydaje mi się postulat logiczny i moralny przeniesienia jej punktów widzenia i koncepcyj na teren literatury. Aby i ona odsłaniała proste a zbyt często przemilczane prawdy o strukturze klasowej społeczeństwa, o formach przemocy ekonomicznej, o drogach wyzwolenia społecznego i zależności wysokich ideałów sprawiedliwości od materialnych form produkcji. W tej filozofii przy tym zawarte jest całe piękno i patos naszych walk wyzwoleńczych, cała prawda tradycyj polskiego postępu ostatnich kilkudziesięciu lat. Te wszystkie prawdy, które sprawdza współczesna praktyka, wyemancypowana działalność ludowa, rewolucyjna przemiana społecznych warunków".

Budzi się mimo woli refleksja: Jakże uboga, niezaradna, po ciemku błądząca, nie „odsłaniająca prostych a zbyt często przemilczanych prawd", nie zajmująca się ani „formami przemocy ekonomicznej", ani „wyzwoleniem społecznym" — była nasza literatura do chwili objawienia się przed jej twórcami „marksizmu jako filozofii kultury" w dniu Zjazdu Delegatów Z. Z. L. P. w Łodzi.

Nic też dziwnego, że nawet tej miary pisarz, co Jan Kochanowski, któremu trudno było przeczuć całą głębię zaleceń Stefana Żółkiewskiego, popadł w niełaskę w dniu 21 października 1945 r., kiedy to w 13-ym n-rze *„Wsi"* klarował czytelnikom tego pisma redaktor jego, jakim to pierworodnym grzechem obciążona jest twórczość Jana Kochanowskiego, ziemianina tuczącego się potem i trudem chłopskim w 16-ym wieku.

Akurat w rok potem, bo w 7-ym n-rze dwutygodnika literacko-społecznego pn. *„Warszawa"*, Maria Dąbrowska podjęła odpowiedź na artykuł J. A. Króla (*„Obrona Kochanowskiego"*). Pisze Maria Dąbrowska: „J. A. Król uważa poezję Jana Kochanowskiego za bezwartościowy rekwizyt klasowej poezji ziemiańskiej, który należy wyrzucić jako śmiecie zbędne dla literackiej kultury wsi. Autor tego sądu idzie tu w ujemnym sądzie o wartościach kultury przeszłości znacznie dalej niż Rosja Sowiecka. W Rosji Sowieckiej zrozumiano już od dość dawna wartościowe znaczenie kulturalnych tradycyj przeszłości dla tworzącej się nowej kultury demokratycznej. Związek Sowiecki może się pochwalić milionowymi, najbardziej starannymi i pełnymi wydaniami swych wielkich pisarzy 19 wieku, chociaż ich większość należała do klasy ziemiańskiej, a nawet — jak Tołstoj — do tzw. „wielkich panów". — „Można wszystko napisać — zauważa w dalszym ciągu M. Dąbrowska — i powiedzieć. Papier jest cierpliwy, a język, jak mówi rosyjskie przysłowie — bez kości". — I pisze: „... trzeba cały materiał dotyczący Kochanowskiego poznać gruntownie, przemyśleć od końca do końca. Bigos i groch z kapustą nie mogą zawsze być symbolem polskiego myślenia i pisania. To stanowi o naszej pośledniości kulturalnej. A my na żadną pośledniość duchową nie możemy sobie nigdy już więcej pozwalać. Wobec wielkiego ubóstwa naszych tradycyj literackich chcieć z tej tradycji wyrzucić Jana Kochanowskiego — w imię źle pojętych wymagań nowej kultury demokratycznej — to jest wielka odpowiedzialność. Tej sprawy nie można załatwić tak beztrosko, jak to uczynił J. A. Król. A że poważne i sumienne rozpatrzenie twórczości Jana Kochanowskiego doprowadzić musi do wniosków całkiem innych niż te, które krytykuję — o tym nie wątpię".

Po przeczytaniu powyższej odprawy mimo woli ciśnie się pod pióro wiersz A. Mickiewicza: „Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział, Nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział...". Albo przysłowie: „Gdybyś był milczał, byliby cię mieli za filozofa".

Zygmunt Kałużyński (*„Wieś"*, nr 38, art.: *„Czy nowe drogi prasy ludowej?"*) omawia na podstawie odpowiedzi nadesłanych z terenu sprawę prasy ludowej. Między innymi, omawiając *„Zielony Sztandar"* i *„Chłopski Sztandar"* oraz uznając je za pisma jednego typu w porównaniu z czasopismem *„Chłopi"*, stwierdza: „...pozostała jednak, niestety, nieświetna tradycja pisma politycznego. Pismo takie ma za zadanie nie wprowadzać chłopa w nowe problemy, nie rozwijać go na tle nowej sytuacji, lecz

utrzymać go, utwierdzić w dotychczasowych przekonaniach". — Co więcej: „Pismo takie nie podaje faktów, lecz tylko ich stronnicze oświetlenie. Każdy artykuł mówi: „Zrobiliśmy tyle a tyle, i jesteśmy za to warci uznania. Domagamy się władzy, na jaką zasłużyliśmy. Jest nas coraz więcej, i my mamy rację". — Kałużyński konkluduje: „Trzeba jednak obiektywnie przyznać, że poziom tych pism w sumie jest wyższy niż poziom analogicznych pism politycznych chłopskich przed wojną".

Dyplomatycznie wielce autor artykułu podciągnął „te pisma", czyli „*Chłopski Sztandar*" i „*Zielony Sztandar*", pod jeden mianownik. Znana jest anegdota o pasztecie, w skład którego wchodziło mięso po połowie z zająca i konia: mianowicie na jednego konia przypadał... jeden zając.

Poza tym uwagi na temat prasy ludowej są ciekawe i dotykają kwestii stale aktualnej. Wydaje się, że prasa ludowa nie zdołała dotąd pogodzić dwóch trudności: wysokiego poziomu z urozmaiconą, a zwłaszcza bogato ilustrowaną treścią i — co najważniejsze — przystępnością formy.

Franciszek Pajdak.

II. KURS DLA KANDYDATÓW NA PRACOWNIKÓW UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej organizuje drugi kurs dla kandydatów na pracowników-wychowawców uniwersytetów ludowych.

Zadaniem tego kursu będzie wprowadzenie przyszłych wychowawców uniwersytetów ludowych do zagadnień programowych, wychowawczych i metodycznych, jakie stosuje się w tego rodzaju zakładach.

Rozrost sieci uniwersytetów ludowych nie idzie w parze z przyrostem nowych sił wychowawczych. Uniwersytety ludowe nie mają dostatecznej obsady wychowawczej tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Chociażby doraźnie temu zapobiec ma właśnie najbliższy kurs.

Kurs rozpocznie się 15 grudnia b. r. i będzie rozłożony na 3 etapy:

I. 15.XII. — 22.XII. 1946 r. — konferencja wstępna, wprowadzająca ogólnie uczestników do spraw związanych z uniwersytetami ludowymi,

II. 2.I — 30.I. 1947 r. — uczestnictwo kandydatów w pracach czynnych uniwersytetów ludowych,

III. 1.II. — 31.III. 1947 r. — kurs właściwy.

Udział w kursie może wziąć każdy, kto pragnie całkowicie poświęcić się pracy wychowawczej w uniwersytetach ludowych, ma ku temu potrzebne wykształcenie ogólne, przynajmniej średnie, chociażby samokształceniem zdobyte, a jest ideowo związany ze środowiskiem wiejskim i jego ruchem społeczno-kulturalnym.

W związku z ewentualnym zgłoszeniem się na kurs nauczycielstwa szkół średnich i powszechnych T. U. L. R. P. poczyni starania w Ministerstwie Oświaty o udzielenie urlopów. Niezależnie od tego zainteresowani winni wnieść podania o urlop drogą służbową.

Koszty utrzymania na kursie pokryje T. U. L. R. P.

Podania kandydatów należy kierować do Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8, załączając:

1) życiorys własny kandydata,

2) zaświadczenie organizacji społecznej, z którą kandydat pozostaje w najbliższym związku (Z. M. W. R. P. „Wici", Z. S. Ch., Z. N. P. i t. p.),

3) zobowiązanie kandydata do pracy w uniwersytecie ludowym po ukończeniu kursu.

SPIS TREŚCI:

Redaktor JÓZEF NIEĆKO

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 85.

Prenumerata: kwartalnie 40 zł, półrocznie 75 zł, rocznie 150 zł. Nr pojedyńczy 15 zł.

Wydawca: Naczelny Komitet Wykonawczy PSL. Druk. PSL Nr 2, Warszawa, ul. Chmielna 25 B—14721